Numer 20. Należ. poczt. opł. gotówką. Dnia 15 Maja 1932

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 2.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy jeszcze w zapasie.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

To dziwne.

Synek: Tato, gdzie tatuś się urodził?
Ojciec: W Majdanie.
Synek: A mama?
Ojciec: W Tarnowie.
Synek: A gdzie ja się urodziłem?
Ojciec: W Rzeszowie.
Synek: To dziwne, jak my się wszyscy zeszli we Lwowie.



W szkole.

— Wymień mi kilka zwierząt czworonożnych.
— Koń, kot, osioł...
— Pies, dwa koguty.
— Jakto dwa koguty?



Od czego stróż!

— On: Dowiedziałem się, że pani ojca niema w domu i dlatego przyszedłem.

— Ona: Ojca niema, ale on powiedział stróżowi, co ma zrobić na wypadek, gdyby się pan u nas pokazał.



Pociecha.

— Ojciec powiada, że możemy się pobrać dopiero za lat dziesięć... Nie martw się, jesteś tak młody!
— Ba, to też mnie tylko o ciebie chodzi.

W szkole.

— Nauczyciel: Grzeszy, kto zabiera cudzą własność. Franek! Co ty więc robisz, ukradłszy jabłka sąsiadowi?

Franek: Co żywo zmykam i jem, panie profesorze!



W sądzie.

— Mówisz, że nie kradniesz, a na czem noce spędzasz?
— Różnie, panie sędzio.
— Gadaj więc, na czem?
— Ano, czasem na sienniku, czasem na podłodze, jak tam człowiekowi wypadnie.

Ogłoszenie

„Niniejszem ostrzegam wszystkich, że ktokolwiek mej żonie, która uciekła odemnie, ułatwi powrót do domu, tego natychmiast zaskarżę do sądu o naruszenie spokoju domowego".



Niesprawiedliwość.

— Za bicie żony skazany jesteś na pięć dni aresztu...

— To niesprawiedliwie, panie sędzio, gdyż według prawa mąż i żona powinni mieszkać razem i wszelkie akty, dotyczące do ich rozłączenia, surowo są zakazane.

Numer 20. Rok XV. Kraków, dnia 15 maja 1932.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1932: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki roczne 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Pocz. Urząd Czekowy 500.868.

Ognie sobótkowe.

Od niepamiętnych czasów ludzie oddawali cześć ogniowi, prawdopodobnie dlatego, że wykrzesać go było trudno, a także i dlatego, iż przynosił on wielkie korzyści, a także wyrządzał i olbrzymie szkody. Starożytni Słowianie palili ognie w świętych gajach i na wierzchołkach gór, przeważnie na cześć boga światła i słońca Jarowita, zwanego na Rusi Kupajło i bogini urodzajów Marzanny. Było to w tych czasach, kiedy wzniecenie ognia nie każdemu się udawało. W porze, gdy noce są coraz krótsze, gdy właściwie noc nigdy nie jest ciemna, ognie palone na górach pomagały bogom światła do zupełnego zwycięstwa nad duchami ciemności i siłami nieczystemi. Tym ogniem odnawiano ogniska domowe i dlatego popiół tego ognia, a nawet i sam ogień w ogniskach odeń zapalonych, miał moc cudotwórczą. Każdy członek gminy udawał się do tego ognia świętego i brał zeń jedną głownię tą rozżarzał swe ognisko domowe, które potem troskliwie pilnował przez cały rok.

W okresie, odpowiadającym w dzisiejszych czasach okresowi od Zielonych Świąt aż do nocy świętojańskiej, palono i palą ognie po górach i polach, które to zwyczaje u niektórych narodów przybierały cechy wielkich uroczystości, oczyszczających ludzi z grzechów, a pola uprawne z różnych chorób i zapewniających im urodzaje.

U ludu naszego te ognie sobótkowe wprawdzie nie uchodziły za coś świętszego od ognia zwyczajnego, w każdym razie jednak — jak wierzono — miały one większą moc, aniżeli ogień zwyczajny, pomagały one na bolenie nóg i inne dolegliwości, odwracały zarazy i choroby od bydła, zabezpieczały zasiewy polne od zarazy, gradów i burz szkodliwych, od porażenia, od błyskawic, od robactwa i wszelkiego złego, dawały wzrost, bujność. Z tego to powodu w wielu okolicach ziem polskich, zapaliwszy t. zw. sobótki od ognia, biegają z niemi chłopcy i parobcy po miedzach, starając się o to, aby iskry padały na zboże lub inne plony. Gdzieniegdzie przy tych obchodach tworzą się procesje, obchodzące pola i śpiewające nabożne pieśni.

Przeważnie wszędzie te uroczyste palenia sobótek odbywają się w noc świętojańską, w niektórych jednak okolicach palą te sobótki w wigilję św. Jana Nepomucena i podczas Zielonych Świątek. Lud opowiada, że św. Jan Nepomucen, gdy odmówił królowi wyjaśnienia tajemnicy spowiedzi królowej, był smalony pochodniami, a następnie utopiony. Na tę pamiątkę palą i dzisiaj pochodnie i sobótki. Na Zielone Świątki palą sobótki na pamiątkę Zesłania Ducha Świętego na apostołów w postaci ognistych języków, a w niektórych okolicach dlatego, bo apostołowie, nawracając pogan na wiarę św., trzymali nad ich głową zapaloną pochodnię, aby tem łatwiej zrozumieli Zesłanie Ducha Świętego.

Dawniej w okolicach Krakowa palono powszechnie sobótki w dniach Zielonych Świątek.

Cudowny zaiste musiał to być widok, jak w te wieczory zielonoświątkowe cały ogromny szmat ziemi od Ojcowa do Lanckorony, od wzgórz Chełmskich (nad Przemszą) aż poza mogiłę Wandy gorzał tysiącem ognisk, rozrzuconych kępami po wzgórzach, jakby obozwiska tajemnych wojsk. Przy każdem ognisku spora grupa parobczaków i dziewuch otaczała kręgiem palący się stos gałęzi i słomy, ustawicznie go podsycając. W pośrodku buchała ciemnym płomieniem zapalona beczka smolna, a dokoła stosu biegali parobczaki i chłopacy, mając na dugich żerdziach snopki rozpalonej słomy, ścigano po polach z wesołemi krzykami żwawe dziewuchy, a śmiel-

si odważali się przeskakiwać przez ten płonący stos, przy tem śpiewano krakowiaki.

Palenie sobótek odbywa się w pierwszy i drugi dzień Zielonych Świąt.

Najwspanialej przedstawiają się sobótki drugiego dnia, a wtedy zabawie, a nieraz swawoli niema końca. W zabawach tych uczestniczy młodzież obojga płci, tańczą i śpiewają około rozpalonych ognisk, a gromadki ludzi starszych, przypatrują się tej zabawie.

Śpiewy, krzyki, wrzaski i śmiechy rozlegają się po polach nieraz do północy. Przygaszane niedopałki składają na polu w kupki, a potem rozrzucają po polu. Wreszcie z okrzykiem: Sobótki na Zielone Świątki" rozchodzą się wszyscy do domów.

Jacek Orlik.

Wiosna życia.

(Z cyklu: „Szkice na kolanie").

Tomek płakał rzewnie, gdy go ojciec zabrał na chłopski swój wóz i powiózł do dalekiego miasta, by go oddać do szkoły... Bo i dlaczego miałby nie płakać, kiedy go nagle oderwano od tego wszystkiego, z czem żył od kołyski i co pokochał, do czego się przywiązał całem swem chłopięcem, prostem sercem.

Przyszedł na świat na wsi beskidzkiej, tam żył i wzrastał do dwunastego roku swego sielskiego życia. Nie był nigdzie dalej, jak chyba w sąsiedniej wsi na odpuście, a miasta żadnego nigdy nie widział, chyba jeno tyle, co hań, ze wzgórza zawiejskiego widać było kominy jego fabryk i smukłą, strzelającą wysoko w niebo wieżę kościoła parafjalnego.

„Pani" w szkole wprawdzie nieraz opowiadała o szerokim świecie, o miastach ludnych i gwarnych, o domach wysokich, wyższych nawet jak te jedle hań koło leśniczówki pod lasem stojące, o kolejach, o tramwajach, o samolotach i innych cudnościach, ale ze wszystkiego tego mgliste, niewyraźne i chaotyczne jeno obrazy pozostały w głowie nieświadomego chłopca... I dziwne! Najwyraźniej w jego głowie pozostał ze wszystkiego obrazek, ha, zresztą wcale, a wcale uroczy i wdzięczny — obrazek „pani", młodej nauczycielki, co kajsik hań od miasta przybyła do wsi, a pan kierownik mówi do niej: „panno Haneczko!" a która miała (Tomek doskonale sobie to zapamiętał) bardzo, bardzo farbione na czerwono usta, niebieskie oczy, jasne, opadające ślicznemi lokami na białe, kształtne ramiona włosy i na nóżkach zgrabnych, sarnich nóżkach, odkrytych aż ponad kolanka, nosiła jasne, lśniące, jedwabne pończoszki... Tak! To sobie dokładnie Tomek zapamiętał, pozatem wszystko inne prawie rozwichrzało się w mgławicy zapomnienia, powoli wypadało z głowy... I koledzy i „koleżanki", — chłopcy i dziewczęta wiejskie zacierali się gdzieś w zapomnieniu, w niebycie, jakby to wszystko tylko sen przedwczorajszy był, z którego tam chyba stare baby coś sobie robią!...

Nie znał więc dalekiego i pięknego świata, były mu obce jego szerokie, bezkresne rozłogi. Znał jeno swoją wieś, ale znał każdy zakątek, każdą dziurę.

— — — — — — — — — — — — — — —

Ciężki, chłopski wóz sunął zwolna po pełnym kurzu i pyłu gościńcu, co przez dalekie pola biegł ku miastu, kręcąc się to na prawo, to znów w lewo...

Smutne, ziębnące już jesienne słońce września przyświecało blado popołudniowym godzinom... W sadach pachniały dojrzałe, soczyste grusze, lśniły wśród żółkniejących już liści rumiane lica jabłek.

Na płowych ścierniskach pasło się stadami bydło, pasterze palili wonne pieczonemi ziemniakami ogniska, dym wlókł się sino-szaremi chmurami w dal kędyś polną, daleką, bezkresną... Czasem wzleciała nad pola junacka, swawolna piosenka, wyrzucona w przestrzeń z gorących, ciepłych piersi młodej pasterki...

Jaśku mój, Jaśku mój!
Przychodź do mnie w nocy,
Żeby nie widziały
Nas mamine ocy!... Hej!...

A gdzieś od zasianego pniami smutnego wyrębu, od martwego cmentarzyska rozszumionej kiedy, jeszcze niedawno puszczy nadlatała piosenka-odpowiedź męskim, a raczej chłopięcym głosem śpiewana:

Hej, przyjdę ja, przyjdę,
Do ciebie kochanie,
Jeno cekoj na mnie
W stodole na sianie!... Hej!...

A buki — hań na wierzchu Leskawca zdały się już zwolna czerwienić, może od tych junackich, swobodnych piosenek, a może od idącej już wolno skądś zdaleka beskidzkiej jesieni, co ją czuć było w górskiem powietrzu i widać na polach pod lasami i na czerwonych, soczystych koralach jarzębiny przydrożnej...

Tomek siedział na wozie smutny i przez łzy patrzał, to na pasmem się ciągnące hyrne wierchy beskidzkie, to gdzieś przed siebie na ciągnący się w dal i prowadzący go w świat gościniec...

Z każdem zbliżeniem się do miasta zaczynało się dla Tomka nawe życie, zbliżały się nowe ścieżki, po których teraz kazano mu stąpać.

Tomek po raz pierwszy zastanowił się nad kolejami życia: a więc wiozą go do szkoły, do miasta... Ale, do kroćset djabłów, po co? Po co? Aha! Będzie się uczył, uczył długie lata, aby być mądrym... Lecz czy dlatego tylko?... Przecież głupim może i tak zostać, mimo nie wiedzieć ilu szkół! Nie! Wiozą go jeszcze po to, by miał kiedyś chleb w ręce... Ha! Przedewszystkiem to! Chleb. I tu jakiś zgrzyt poczuł we własnej duszy, coś szarpło jego sercem, jak nigdy może jeszcze. To po to tylko żyją wszyscy ludzie, by jeść chleb, nic więcej? Nic? Słowo: „chleb" stanęło mu ością w gardle, poczęło mu dzwonić okropnie nieprzyjemną melodją w uszach... Chleb! Tyle, tyle lat „kucia" wściekłego i potem co? Chleb? Jaki? Nie, on nie zamierza żyć tylko dla chleba! On ma przecież duszę!... Ksiądz nieraz uczył na godzinach religji, że każdy człowiek ma oprócz ciała duszę, więc i on ją musi mieć!... A gdzie chleb dla duszy? Gdzie? Więc nie lepiejby było przypadkiem pozostać na wsi, oddychać czystem powietrzem, słuchać śpiewu ptasząt w lesie, a ten „chleb" zdobywać choćby krwawą orką kamienistej i twardej, jak sama skała ziemi?... Nie lepiejby było? Zawszeby człowiek już miał kochaną, cichą wieś!... Wieś!...

I wreszcie zamyślił się i rozmarzył Tomek przy tem wszystkiem na dobre... Stanął mu obraz oddalającej się wsi przed oczyma...Biegnące obustronnie ko-

ło gościńca pochyłe od starości chaty z porosłą mchem strzechą drewnianą...

Za wsią szemrzący na pustym, gdzieniegdzie przypruszonym wikliną i samotnie stojącemi sosnami kamieńcu — potok. Szemrzał tak co dnia i co nocy i biegł gdzieś w dal nieznaną... Starzy ludzie mówili, że płynie aż do morza polskiego, ale Tomkowi trudno było w to uwierzyć... O tym potoku najpierw sobie przypomniał, jakby coś było wspólnego między nim, a Tomkowem życiem... Kiedyś tam, gdy jeszcze dzieckiem był prawie, pasł codziennie latem białe gęsi nad owym potokiem w towarzystwie małej, wiecznie rozczochranej Stefki od sąsiada... Tam oboje się bawili, stawiali domki z płaskich kamieni, budowali ogródki z sosnowych patyków, brodzili po rozgrzanej sierpniowem słońcem rzece i śnili lata dziecięce.

A dalej przypomniał się Tomkowi i ten prześliczny, choć już tylko w szczątkach stojący las brzozowy, niedaleko od rzeki bielejący...

Obejrzał się na odwożącej go ze wsi furze i ujrzał ciemną linję tego lasu na dalekim krańcu horyzontu gdzieś pozostawioną.

Właśnie teraz tam daleko nad czubami brzóz białych, płaczących, gdzieś hen, hen, zachodziło słońce beskidzkie... Rozlało hojnie, pełną garścią czerwień po zachodzie i pozłociło tu i ówdzie błąkającą się po niebie maleńką chmurkę...

Miasto się przybliżało...

Rosły w oczach kominy fabryczne i wieżyce kościołów, dachy blachą kryte czerwieniły się w zachodzie słońca... Gwar ulicy, huk i stuk fabryk, odgłos samochodowych trąbek słychać już było donośnie...

Wóz wiozący Tomka i jego studencki kuferek, wtaczał się zwolna na kamienny bruk miasta...

Tomek wkraczał w nowe, nieznane dotąd życie. Skończyła się cisza wiejska, skończyła sielanka beztroski, a rozpoczynał bój zacięty znojnego, ludzkiego życia...

Cały gwar miejski śpiewał jedną jedyną pisenkę Tomkowi na powitanie:

— Chleb... Chleb... Chleb...

...A Tomek rozwarł szeroko oczy, natężył słuch, wstrzymał oddech w piersi i słuchał z lekką trwogą nieznanej dotąd, jeszcze nigdy nie słyszanej pieśni.

II.

Pierwsze lata szkolne Tomka płynęły, jak zwykle płyną lata małych studentów, co to starsi mówią do nich jeszcze „dzieci“, patrzą na nich zgóry, jakby z lekkiem lekceważeniem, pogardą... oczywiście zapomniawszy zupełnie przytem, że także się kiedyś takim było...

Tomek codziennie przemierzał kilka uliczek, mniej lub więcej czystych, aż znalazł się na końcu już prawie miasta, gdzie stał okazały gmach szkolny. — I tam znowu zaczynało się nowe środowisko życia, nowy świat, z którego Tomek wydostawał się dopiero około drugiej godziny popołudniu, z głosem ostatniego najradośniejszego i najbardziej ukochanego przez szkolną brać dzwonka...

W murach szkolnych, jak zwykle. Dzwonki, godziny, pauzy i znowu dzwonki... Na godzinach suche wykłady, ziewanie, przepytywanie lekcji poprzedniej, podpowiadanie czasem, hm, nawet bardzo często „dwóje“. Urozmaiceniem tych szarych godzin były jedynie „kawały“ morowszych sztubaków i pauzy. Ha! Pauzy! Na tych pauzach to było wszystko, czegoś sobie tylko życzył! Zapełniona karykaturami profesorów tablica, podarty papier na katedrze, splamiony atramentem dziennik klasowy, wypisana kreda, sucha gąbka do tablicy, rozbita gdzieś w któremś oknie szyba, połamane czy porżnięte nożami ławki, obite ściany, no i przy tem wszystkiem oczywiście, jak zawsze powybijane zęby, oczy, podrapane nosy, czasem połamane ręce i nogi, a już zawsze, nieodłącznie poobrywane guziki przy mundurkach i podarte na kolanie zazwyczaj, a czasem nawet w bardziej niedyskretnem miejscu spodnie... To były szkolne pauzy! I pauzy te każdy lubił! Za godzinami nauki to tam nikt wcale, a wcale nie tęsknił i nie przepadał!... Były, bo musiały być, trudno. Ale jakaż tam w Tomkowej klasie była radość ogromna, niekłamana radość, gdy któryś z „belfrów“ zachorował nagle i na godzinę nie przyszedł! No! Bo tam wprawdzie śmierci mu nikt nie życzył, ale zawsze było lepiej mieć wolną godzinę, niż gdyby profesor był zdrowy.

Tomek powoli zżywał się nadobre ze szkołą i nie tęsknił już tak, jak dawniej za wsią i jej światem... Zaczynał powoli, bardzo powoli rozumieć duszę miasta i serce swe dla niego otwierał już na rozcierz...

Gdy wczesnym rankiem przyszło wstawać z łóżka, zbierać się i iść do szkoły, a nie chciało mu się jakoś, przypominał sobie sobie twarde i niemiło brzmiące, ale prawdziwe słowa ojca:

— Te, jak sie nie bedzies uceł, to dziadem bedzies! A jo ci za to skóre na corno wygarbuje bicyskiem.

Patrzyły wtedy na Tomka łagodne oczy matki-prostaczki i jakby gdzieś zdaleka zaraz słyszał niemiłe, ale nakazujące słowo:

— Chleb!...

I zrywał się odrazu z pościeli, zły na cały świat i na całą psią dolę — ale się zrywał, ubierał, spożywał śniadanie i szedł do szkoły...

Te lata minęły zupełnie bez znaczenia, bez wyciśnięcia piętna na duszy Tomkowej... Co po nich pozostało? Wspomnienie niemiłe zresztą, o bardzo niemiłe „garbowania skóry“ przez ojca... Pozatem nic... — Przeszły jednak te lata chłopięce i nadszedł okres młodzieńczy Tomkowego życia. Nadeszły klasy wyższe gimnazjum...

I tu z Tomkiem biednym coś się poczęło robić... Piękne oczy młodych studentek poczęły po koleji urzekać biedną duszę chłopca, wrażliwego chłopca. — Kochał się naprzemian to w jednej, to w drugiej... Nasiąknął miejską atmosferą, a wieś oddalała się od niego coraz bardziej, coraz bardziej... Już tylko żyła w wspomnieniach dalekich, dalekich...

Gdy czasem, przesiadując w bibljotece, stykał się z literaturą ludową, wydawało mu się, że cały ten piękny zamknięty w książkach poetów wiejskich świat, jest mu prawie już obcy, prawie jakby nieznany.

Wieś ginęła w jego duszy, — rodziło się miasto i jego świat...

III.

Powrócił do swego mieszkania, a raczej małego pokoiku, zajmowanego na poddaszu) jednego z domów przedmieścia pełen radości, rozpromienienia i jakiegoś zadowolenia wewnętrznego...

Miał wreszcie w ręce po tylu, tylu latach dyplom artysty-malarza.

Usiadł przy oknie na rozcierz otwartem, wchłaniał w swą pierś świeże powietrze i słał marzycielski swój wzrok w dal — hen — na zamiejskie pola, gdzie w rozkwitających pąkach drzew i w zieleniejących się młodą trawą łąkach budził się świat do nowego życia.

Przy tem górnem swojem okienku na poddaszu, co wróble do niego z pod strzechy zaglądały, było mu dzisiaj dziwnie ukojnie, bezgranicznie błogo...

Przypomnieli mu się dawno już pomarli rodzice, co się wyrzekli swego syna, gdyż, jak mówili: „w głowie mu się przewróciło, bo poszedł na malarza i będzie chodził bez portek“, a nie na księdza, jak sobie tego mocno i gorąco życzyli, przypomniał sobie ich pokryte gęsto zmarszczkami twarze i spracowane żylaste ręce... Nie czuł do nich żadnego żalu w swem sercu za to ich „wyrzeczenie się“. Owszem na dnie swego synowskiego serca miał dla nich wyrozumienie i szczery, synowski sentyment... Kochał ich... Przecież oni, bądź co bądź to zrobili, że dzisiaj jest tym „zatraconym malarzem“.

(Dokończenie nastąpi).

Skąd się wziął słowik.

Legenda.

Przed zamierzchłemi dawnemi wiekami w majowy ranek zszedł Pan Bóg na ziemię, aby podziwiać jej królewskie piękno, które Sam stworzył rękami Swojemi. Słońce Mu słało z chabrowego nieba pod Jego stopy wstęgę blasków złotą, rankowa rosa operliła kwiaty łąk różnobarwne i plusz pól zielonych, ponad któremi On niósł się w aureoli jaśni słonecznej, skąd spoglądał na nie z radością świętą i zadowoleniem. I widział Stwórca wśrd niw szmaragdowych grusze samotne, bielejące kwieciem; i widział Stwórca kiedyś w gwarnych siołach jabłonie strojne w kwiecistą różaność i śliwy białe i śnieżyste wiśnie, i bzy fioletne i róże purpurowe, a wszystko wonne, radosne, kwitnące; i widział Stwórca tęcze rozbrzęczane pszczół miodonośnych i motyli krasnych, unoszących się nad barwnymi kwiaty, które witały Go subtelną wonią i modliły się Doń swym piękna czarem. Ptaszki Mu różne, skryte w zieleń gajów, lub fruwające w przeźroczym przestworze, śpiewały wdzięczne hymny uwielbienia, wesela, chwały, szczęścia, dziękczynienia. Ludzie Mu także, składając ofiary całopalenia, oddawali chwałę. I wszystkie twory, żyjące na ziemi, radowały się Panu Stwórcy swemu, Który uśmiechał się do nich miłośnie i błogosławił przenajświętszą ręką.

Tak dzionek cały przeminął radośnie Bogu wśród świata, co Mu brzmiał rozgwarem... Ale gdy wieczór minął, a noc przyszła, umilkły ptasze śpiewające głosy i cisza smętna zawładnęła wszystkiem. Choć srebrna tarcza jasnego księżyca i złote lampki gwiazd jasno błyszczących z wyżyn błękitu oświetlały ziemię, smutek ogarnął święte serce Boga, mimo dąbrowy głuchej dążącego. Pomyślał:

— Taka noc czarowna, wonna, gwiaździstym płaszczem świat osłaniająca senny, marzący, Mem szczęściem szczęśliwy, a nikt nie śpiewa o niej, ani o Mnie, Którym ją stworzył, jak wszystko, z niczego.

I smętnym, świętym, promienistym wzrokiem spojrzał na dywan zielony trawnika, kędy liść zwiędły i rdzawy spoczywał. Podjął go stamtąd Swoją świętą dłonią, tchnął weń dech życia i rzekł mu:

— Stań Mi się ptaszyną Moją i zanuć, bom smutny!...

Umilkł, a listek w mig zmienił się w ptaszka rdzawopiórego i jął śpiewać cudnie, a tak radośnie, aż oblicze Boże rozjaśniło się niebiańskiem weselem. Po chwili ptaszek ucichł na prawicy Stwórcy i spojrzał Nań oczkami swemi, jakby Go pytał:

— Co mi powiesz, Panie?

On zaś do niego tak rzekł uroczyście:

— Słysz, co ci mówię, ptaszku ty mój drogi! Od tej godziny, od dzisiejszej chwili będziesz Mi nucił w tym oto gaiku, co zieleni się przy złotym strumyku; a że Mą chwałę i potęgę świętą i urok nocy oraz dni wiosennych, wieczorów złotych, tudzież ranków srebrnych, jakoteż krasę woniejącej wiosny w śpiewaniach swoich dźwięcznych będziesz sławił, przeto „słowikiem“ cię mianuję ninie. Teraz leć sobie i wyśpiewuj pienia takie, by od nich świat ten był weselszy od dziś i żeby człowiek utrapiony znalazł w nich szczere dla się ukojenie.

Pofrunął słowik, zaśpiewał w gaiku, a Stwórca dodał:

— Nuć! Jutro ci przydam wiele skrzydlatych towarzyszów pieśni.

Poczem do niebios uniósł się w jasności.

Słowik zaś śpiewał het przez nockę całą, nad rankiem usnął, a gdy się obudził, zobaczył dużo takich, jak on, ptaszków, które nuciły poranne hejnały. Więc i on złączył się z niemi, by sławić potęgę Boga i czar wiosny kwietnej.

Jan Matuszkiewicz.

Wiosna

Słuchajcie ludzie! słuchajcie!
jaką wam radość obwieszcze:
oto się wiosną upiłem
i wołam: „jeszcze i jeszcze!“

Szumi mi wiosna, jak wino
w głowie mej, głowie pijanej:
tylko mi nie myśl dziewczyno,
żem w tobie zakochany.

Bo oto wiosna mnie bierze
w rozmiłowane ramiona — —
i pędzi ze mną po polach,
ugorach i zagonach.

Pokazuje mi chmury,
co pędzą na wyścigi — —
i wiatr, co stoi w ogrodzie
i inne „makagigi“.

Z wiosną na chmurach usiadam
na księżyc głowę swą kładę —
i tak radośnie z wiosną
na wieś pozdrowić was jadę.

I bujam sobie po chmurach,
a nawet w nagłej potrzebie,
gdy rym mi tego wymaga;
to spaceruję po niebie.

Lecz to was nie przeraża,
moje dziewczęta kochane,
że serce moje, jak wiosna
kwitnące jest i pijane.

Wincenty Kuglin.

Niema to, jak wiosna!...



Każda z pór roku ma swoje przyjemności, ale żadna z nich nie posiada tyle uroku, co wiosna. W lecie mamy kąpiele, w jesieni smaczne owoce, w zimie ślizgawki i sanki; ale wiosna mieści w sobie tyle rozkoszy, jakich nie posiada ani lato, ani jesień, ani zima.. Kiedy w czasie zimy zdawało się, iż świat cały zamarł w jakimś bezruchu, z którego się nigdy nie podźwignie, to z chwilą przebudzenia się wiosny widzimy, iż był to tylko sen chwilowy, konieczny odpoczynek przyrody, aby nabrała sił do dalszych wysiłków, do dalszej pracy. A ogrom tej pracy jest olbrzymi. Oto musi na świecie powstać miljardy nowych istnień. Z ziemi wystrzela nieprzeliczona liczba przecudnych roślinek, powietrze zapełnia się tysiącami ptasząt, miljardami przeróżnych muszek i innych owadów, które same muszą się nawzajem tępić, aby nie przepełnić tego świata i nie zniszczyć go zupełnie.

Jak szybko rozmnażają się niektóre istoty na tym świecie, przytoczymy kilka przykładów. Oto na przykład takie szczury i myszy wydają na świat potomstwo w tak dużej ilości, że gryzonie te w przeciętnym czasokresie życia ludzkiego byłyby w stanie ogołocić cały glob ziemski. Całe szczęście, że większość tych szkodników ginie za młodu, a zostają tylko najsilniejsze jednostki. Albo takie lemingi (rodzaj szczurów wędrownych), rozmnażają się w olbrzymie stada tak, że gdyby pozostały przy życiu, w jednym roku potrafiłyby zapełnić świat cały. Ale dziwnem zrządzeniem Boskiem olbrzymie nieraz stada tych zwierząt bez żadnego powodu rzucają się w morze, aby tam znaleźć zagładę.

Wśród ryb są gatunki, składające po ośm miljonów ikry w jednym sezonie, a samiczka węgorza składa ich nawet 10 miljonów. Gdyby to wszystko żyło i rosło, w ciągu jednego roku wody całego świata wystąpiłyby z brzegów i zalały ziemię.

Weźmy takie owady. Oto nasza kochana matka pszczela w przeciągu trzech lat swojego życia, gdyż tak długo trzymają ją pasiecznicy w ulach, znosi około pięciu miljonów jajek. Można sobie wyobrazić, jakieby to były chmary pszczół na świecie, gdyby życie pszczół trwało przynajmniej rok. Ale wiadomo, że pszczoła żyje przeciętnie 6 tygodni; zmogą ją trudy pracy i wyniszczą jej nieprzyjaciele. Produkcja u matki termitów dochodzi do ośmdziesiąt tysięcy jajek dziennie, a homar jednorazowo jest w stanie wydać 10 tysięcy zalążków, z których przy sprzyjających warunkach mogą powstać nowe istoty.

Ale to jeszcze nic, gdyż taka ostryga w jednym sezonie składa pół miljona jaj, a jeżeli warunki sprzyjają, to zdoła złożyć ich i miljon. Rekord jednak pod względem rozrodczości dzierżą różne mikroby i bakterje. Oto niektóre rodzaje bakteryj spełniają swe posłannictwo życiowe w przeciągu dwudziestu minut, to znaczy, że poszczególny mikrob w dwadzieścia minut po rozpoczęciu egzystencji życiowej gotów jest do „rozdwojenia" się, początkując w ten sposób nową generację; po upływie dwudziestu minut owe dwa siostrzane mikroby znów ze swej strony dzielą się na dwoje i t. d. Otóż mikrob w przeciągu jednej godziny może mieć własne dzieci, wnuki, prawnuki, praprawnuki i t. d. Gdyby mikroby, znajdujące się w szklance zsiadłego mleka, otrzymały potrzebne im do życia pożywienie i gdyby danem im było żyć we właściwych warunkach, wówczas w przeciągu pięciu dni rozmnożyłyby się do tego stopnia, że żywa ich masa byłaby większa od całej kuli ziemskiej.

A człowiek? Człowiek, gdy ma w ciągu jednego roku dwoje dzieci (bliźnięta), to zdaje mu się, że to już bardzo dużo, a gdy się zdarzą gdzieś tam w świecie trojaczki, lub czworaczki, to aże w gazetach o tem piszą. A przecież to tak niewiele.

Ale zakończmy te obliczenia, a powróćmy do uroków wiosny. Opisywać ich nie trzeba, gdyż każdy wie, że na wiosnę wszystko się raduje, wszystko tchnie szczęściem i miłością, a nawet, jak to powiedział Sienkiewicz, wiórek do wiórka na wiosnę miłośnie wzdycha. Nic też więc dziwnego, że i dwoje młodych których widzimy na naszym obrazku, w piękny dzień majowy wyszło sobie na kwiecistą łąkę, aby użyć czaru wiosennego. Ona położyła się na trawie, wpatrzona w swojego towarzysza, a on gra jej przecudne melodje na zwykłej fujarce. Ale muzyka jego to tylko słabe odbicie tej muzyki anielskiej, jaką wyśpiewują ich młode serca, ukryte pod zgrzebnemi koszulinami.

Oby się wiosna, a jeszcze więcej wiosna życia, nigdy nie skończyła.



Najgorsiejsą wadą ludzką na całym świecie to jest proceśnictwo. Ludzie, cy mają o co, cy ni mają, ti się lubią po sądach włócyć, ze nieraz na korytarzach sądowych można widzieć więcej ludzi, niźli na Gorzkich Żalach w Zielone Świątki.

Wiadomo przecie kuzdemu, ze ten i ów, co to do kieliska zaglądać lubi, a upiwsy się, nurza się kieby ta świnia w błocie, to on sobie tego za niehunor ni ma, ale temu samemu pijakowi powiedz kiedy:

— Ty świnio, pijaku! — to się tak rozeźli, ze zaraz pójdzie do hadukata i do sądu cię powiedzie.

Albo niejedna baba, co to od rana do wiecora gębą miele, kieby Franków wiatrak w polu na górecce, to ona sobie tego gębowania za nic nie ma, ale powiedz jej kiedy delikatnie:

— Ty jędzo, sekutnico! — to z pewnością cię po wszyćkich sądach obwlece, ostatnie portki z ciebie za kosta sądowe ściągnie i do powąchania kryminalskiej dziury w najlepsym razie przymusi.

Albo niejeden zbereźnik, co to gospodarzowego nie oscędzi i cudzego przykradnie, niech ino usłysy, ze go kto po imieniu złodziejem zawoła, to on takiego śmiałka zaraz skargami obsypie, ze ani zipnie nieboracyna.

Latego tez dzisiaj ludzie ućciwi nawet z największemi obwiesielcami musą się delikatnie obchodzić, aby się nie włócyć po sądach.

A w sądach, próc skarżącego i oskarżonego, są różne osoby, które tak cłeka zmisają, ze sam nie wie, co ma gadać. Przy kuzdej sprawie są sędziowie, hadukaci i świadkowie, bo kuzdy przecie zyć musi i patrzy, aby cosik, gdziesik zarobić.

Świadkowie to są takie osoby, które wprawdzie wszyćko widziały i słysały, ale na nicem się nie znają i nic nie pamiętają. I po największej częśći zamiast świadcyć n. p. przeciw złodziejowi, to go jesce ochraniają, bo się go boją. Wiedzą bowiem, bo któzby tego nie wiedział, ze złodziej, jakby przeciw niemu świadcyli, toby ich potem za zemstę okradł, a uściwego cłeka się nie boją, więc go i nie ochraniają.

Casem potrzeba w sądzie rzecoznawców, a są to takie osoby, które nic nie widziały i nic nie słysały, ale się na wszyćkiem znają i o wszyćkiem mogą coś bardzo ucenego powiedzieć, cego nawet najmądrzejsy sędzia prawie nigdy nie rozumie.

W sądzie bywają takze sędziowie, bo sąd bez sędziego nie byłby sądem, jak sędzia bez sądu nie byłby sędzią. Sędziowie zaś to są takie osoby, które nic nie widziały i nic nie słysały, a wiedzą ino to, co jem kto powie, i juz mają naprzód w książkach wydrukowane, cy kto winien, cy nie i ile będzie siedział. Bywa cęsto tak, ze sędzia wie, iz złodziej ukradł, ale palagraf powiada, ze on to krad nie la siebie, ino la swojej baby, więc jest niewinny, jak to nowonarodzone prosię.

Oprócz sędziów są takze w sądzie hadukaci, to jest takie osoby, które nic nie widziały i nic nie słysały, ale wszyćko wiedzą, co było i nie było. Znają się dobrze i na świadkach , i na sędziach i na rzecoznawcach, a tak dobrze umieją kręcić, ze z prawdy robią nieprawdę, a z nieprawdy prawdę. Dwóch hadukatów, jak się ze sobą zejdzie, to kieby chłop i baba: cego jeden kce, to drugi nie kce, a cego drugi kce, tego pirsy nie kce. Bez cały dzień zrą się i kłócą, a dopiro wiecorem się godzą, nieprzymirzając, jak chłop z babą, kiedy światła pogasną. I jak zacną oba kręcić, to wtedy ani skarzący, ani oskarzony nie wie, co było, a co nie było i cęsto złodziej uwaza się za tak niewinnego, ze ze strachem maca się po kieseniach, cy ma jesce ten zygarek, o którego ukradzenie został oskarzony. A kiedy oskarzony i skarzący wyjdą ze sądu, to są tak otumanieni przez hadukatów, ze się obom zdaje, iż proces wygrali, a często skarzący dziękuje Bogu, iz go sędzia, zamiast złodzieja, nie zamknął do kreminału.

Znam ja te hadukackie prześpiegi i choć mi juz nieraz ludzie, a szczególniej baby, do zywego dojedli, jescem się ani razu do hadukata nie puścił, bo wiem, ze, cybym wygrał, cy przegrał, to jabym zawse przegrał, a hadukat zawseby wygrał moje piniądze i śmiałby się ze mnie, jako i z inksych się śmieje.



Na Majówce.

Pieśni ludu się łączą z organów dźwiękami,
płynąc kornie przed kwietne ołtarza wzniesienie,
z którego, oświetlona świateł rozblaskami,
Bogarodzica wiernym śle słodkie spojrzenie.

Pochylają się głowy wiernych Jej czcicieli
przed Nią, Która w ich serca wlewa łaski święte:
to niemocnych pokrzepi, smętnych rozweseli,
aby do Niej podnieśli oczy uśmiechnięte...

Lub błądzącym ukaże wiary tor świetlany,
po którymby do Boga dążyli bezpiecznie,
uznawali Go zawsze za Pana nad Pany,
a po skonie z Nim w niebie cieszyli się wiecznie.

Zdala, poprzez otwarte kościoła wierzeje,
płyną wonie, żab gwary i słowiczą pienia
do Tej, Która niebieską dobrocią jaśnieje,
pocieszając, jak matka, wszelakie stworzenia.

Wszystko dla Niej zakwita urokiem, barwami;
Jej to brzęczą owady, śpiewają ptaszęta,
a Ona je obdarza Swojemi łaskami
i w gwiezdnej aureoli promienieje Święta.

Jan Matuszkiewicz.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Bośnia VI.

Nim opuścimy Bośnię na czas dłuższy, wspomnieć nam wypada jeszcze o ludności tamtejszej. Ludność tę można podzielić na dwa rodzaje, a mianowicie tu-



Wieśniaczki bośniackie

bylczą, osiadłą na tej ziemi od wieków i napływową, która dopiero z czasem wdarła się do tej krainy, lub też została przez nią gościnnie przyjęta.

Ludność tubylcza jest pochodzenia słowiańskiego; są to Serbowie, mówiący językiem podobnym nieco do polskiego, a wyznają w przeważnej swej większości religję prawosławną. Widzimy na naszych obrazkach kilka typów tej ludności. A więc są tu przedewszystkiem dziewczęta bośniackie, w swych zbyt wolnych strojach, które nie uwidaczniają zupełnie ich często wiotkich kształtów, przeciwnie czynią je jakiemiś ociężałemi i jakby leniwemi. Zaznaczyć jednak należy, że jest to strój narodowy, który nie przeszkadza, że i tam już dotarła dzisiejsza kusa moda z spodniczkami mało co więcej, aniżeli parę centymetrów w dół od pasa, a pół metra ponad kolana. Mają one również charakterystyczne nakrycia głowy, nigdzie indziej nie spotykane.



Wieśniacy bośniaccy.

Stroje narodowe klasy zamożniejszej są wcale urocze, jak to widzimy na obrazkach, przedstawiających popiersia zamożnej wieśniaczki i zamożnego wieśniaka bośniackiego. Pierś dziewczyny zdobią najróżnorodniejsze koronki, przecudnej roboty, a głowę również charakterystyczne nakrycie. Strój młodzieńca przypomina więcej ubranie kobiece, niż męskie, jedynie pas, a za nim krucica lub sztylet odróżniają go od płci pięknej. Zawój na głowie dodaje malowniczości jego wyglądowi. Twarze obydwojga są typowo serbskie, a więc ujmujące swym wyglądem i budzące zaufanie.

Wreszcie dalszy obrazek daje nam podobiznę trzech wieśniaków bośniackich z klasy biedniejszej w ich codziennych strojach. Charakterystyczną ich cechą jest, że albo nie posiadają wcale rękawów, albo mają je tak obszerne, że z niejednego możnaby zrobić spodniczkę dla małej dziewczyny. I w Bośni, tak, jak na Węgrzech, można do dziś dnia spotkać mężczyzn, noszących obszerne spodnice.

Długi czas Bośniacy rządzili się sami, mając swych udzielnych władców. Kiedy jednak wyznawcy Mahometa rzucili się na podbój Europy, nie mogli się im również oprzeć i mieszkańcy Bośni. Wielu



Zamożny wieśniak.



Zamożna wieśniaczka.

ich położyło głowy w krwawych zapasach z czcicielami półksiężyca, wielu poszło w ciężką niewolę turecką, a inni musieli poddać się pod twarde jarzmo przemocy. Bośnię zalali Turcy, poosiedlali się w miastach i po zamkach tamtejszych, zamieniając cerkwie na meczety, a krzyże na półksiężyce. Panami Bośni stali się Turcy, a parjasami, którzy musieli na nich pracować, dotychczasowi dziedzice tej ziemi.

Lud wiejski zachował jednak swą wiarę i język ojczysty, natomiast wielu zamożniejszych dla osobistych korzyści i przyjemności przyjęło religję mahometańską, a z czasem zapomniało i mowy ojczystej, przemieniając się w Turków.

Oddzielną grupę ludności stanowią tam żydzi i tem są podobni do naszych żydów, iż nie przyjęli języka kraju, który ich gościnnie przyjął, ale zachowali język hiszpański, t. j. kraju, z którego zostali wypędzeni.

W czasie okupacji Bośni i Hercogowiny przez Austrjo-Węgry wyemigrowało z dawnej Galicji dość dużo rodzin polskich, które się tam osiedlały. Kolonizację tę rząd austrjacki popierał, a Polacy z kraju

dbali o swych współbraci, dostarczając im nauczycieli do ich szkółek i opłacając ich, jak również książek do bibljotek i gazet do czytelń. Szczególniej bardzo owocną działalność pod tym względem rozwijało Towarzystwo Szkoły Ludowej. I obecnie mieszka tam jeszcze wielu Polaków, ale jakoś nic nie słychać, aby ktoś z naszej strony dbał o nich, zachodzi więc obawa, że z czasem mogą się wynarodowić.

(Ciąg dalszy nastąpi).



(Ciąg dalszy). (Przedruk wzbroniony).

— Lekarkę Malczykównę odwieźcie natychmiast do szpitala św. Stefana w Debreczynie, a panią hrabinę zatrzymajcie, dopóki nie załatwię się z dziećmi.

— Pociągając za sobą akuszerkę, podążył potem do pokoju lekarskiego — i tu, nie namyślając się, przystąpił do operacji. Były to córki podobniusieńkie do siebie, jak dwie krople wody. Dzieciny rozłączył, zbandażował i oddał opiece akuszerki, a sam podążył do pani hrabiny. Operacja udała mu się — dzieci dalej żyły.

— Poszłam za nim. Przykro było, panie hrabio, patrzeć na panią, jak przytrzymywana przez kilkanaście rąk, jeszcze się wyrywała, śmiejąc się bezustannie. Z trudem nałożono jej kaftan bezpieczeństwa, a potem pan doktor — ostrożnie ułożywszy w automobilu sanitarnym, odwiózł ją do zakładu umysłowo chorych. Następnego dnia służąca, wszedłszy do jego pokoju, znalazła go leżącego w łóżku. Otwarte oczy i usta, zesiniałe ciało, przeraziły ją tak, iż wybiegła z wrzaskiem na korytarz. Pospieszywszy na miejsce, przekonaliśmy się, iż zmarł. Zatelefonowaliśmy po lekarza do Debreczyna, a kiedy przybył, skonstatował śmierć na udar serca. Nie miał siły przenieść okropnego wypadku.

IX.

Ciąg dalszy opowiadania hrabiego.

Skończywszy te słowa, hrabia milczał chwilkę. Brutanek również nie przerywał ciszy. Przejął się niezwykłem opowiadaniem hrabiego i nie mógł ośmielić się na wtrącenie jakiegoś zdania, wiedząc, że hrabia bez zachęty opowie dalszy ciąg swoich przejść. I tak się też stało.

— Chwała Bogu, — rozpoczął — najgorsze zło minęło za jakiś czas, a nadto dowiedziałem się, że obie dzieciny lubo nie jednej matki były moje.

— Odbiegłem jednak od właściwego tematu. — W dalszym ciągu klucznica powiadomiła mię, że lekarka Malczykówna jeszcze tej samej nocy zmarła, nie odzyskawszy zupełnie przytomności i dwa dni przed moim przyjazdem została pochowaną w Debreczynie. Lekarz zamkowy został pochowany dwa dni później. Pierwszą moją myślą było naturalnie odwiedzić żonę. W szpitalu dla umysłowo chorych lekarz nie pozwolił mi na widzenie, twierdząc, że stan żony nie poprawił się. Rzuca się jak z początku, a nadto widok każdego mężczyzny przyprawia ją o silne ataki. Widzi w nich męża, którego dla jakiegoś powodu znienawidziła — usprawiedliwiał odmowę. — Musiałem zatem powrócić do zamku. Zająłem się dochodzeniem, by stwierdzić, które z dzieci było moje. Nowy lekarz, wezwany do skonstatowania śmierci lekarza zamkowego, przebywał w dalszym ciągu, mając w bezustannej obserwacji niemowlęta z powodu ich poważnych ran, pozostałych po operacji. Twierdził on stanowczo, że dzieciny musiały być bliźniętami. Pochodziły od jednej matki. Zachodziło tylko pytanie, od której? Twierdzenie swoje opierał na tem, iż były ze sobą połączone naroślą w okolicy serca. Dziwił się niezmiernie, jak lekarz zamkowy poważył się na podobną operację, która jakimś cudem udała mu się. Badając rany, zadane dzieciom, przekonał się, iż serca ich przed operacją bezpośrednio łączyły się ze sobą poważnemi arterjami. Tem większe było jego zdziwienie, że rozłączenie bliźniąt nie spowodowało natychmiastowej śmierci, a przynajmniej krwotoku przeciętych żył, którego żadna siła ludzka nie zdołałaby powstrzymać. Na pytanie, co się mogło stać z dziecięciem lekarki Malczykówny, twierdził, opierając się na opowiadaniu klucznicy, iż ona fingowała poród, mając jakiś w tem cel. Chociażby sprowokowanie żony, lub też coś innego. Jego twierdzenie z całą stanowczością zbijała akuszerka, którą Malczykówna z miasta wezwała; wreszcie wszyscy inni obecni przy tragedji. Zeznawała ona, powołując się na Boga, iż z całą pewnością lekarka Malczykówna miała w tym samym czasie, co i pani hrabina rodzić.

— W takim razie — upierał się lekarz, mając słuszne podstawy — w chwili, gdy nieszczęśliwa została ugodzona sztyletem, dziecię zostało również zabite i pogrzebano je razem z matką.

— Najciekawsze jednak było wyjaśnienie pokojówki. Oświadczyła ona z całą świadomością tego co mówiła, iż widziała, że obie dzieciny urodziły się w chwili, gdy pani hrabina ugodziła sztyletem Malczykównę. Zobaczywszy krew — mówiła — zrobiło mi się słabo. Odwróciłam natychmiast oczy, by się nie patrzeć na ranę. Zobaczyłam wtedy, iż dzieciny obydwie przyszły na świat. Jedynie dziecię Malczykówny miało wygląd nieżywego i ranę na piersi w tem samem miejscu, w którem matka została ugodzona. Dziecię pani hrabiny jakąś dziwną siłą potoczyło się do dzieciny Malczykówny, połączyło z niem. Widziała następnie, iż wtedy dziecię Malczykówny odżyło.

— Zeznanie jej wyglądało na halucynację — opowiadał dalej hrabia. — Tak ja, jak inni powątpiewaliśmy w nie. Aby się ostatecznie upewnić, czy Malczykówna nie została z dziecięciem pogrzebaną, pojechałem do Debreczyna i udałem się do szpitala, w którym zmarła. Lekarze pytani o to, oświadczyli z całą pewnością, iż w chwili, gdy ją przywieziono, nie miała dziecięcia. Po pewnych znamionach poznali, że dopiero co je urodziła. Pojechałem zatem do szpitala dla umysłowo chorych, by się dowiedzieć, czy żona nie nosiła jeszcze swojego płodu. I tu powiedziano mi, że przed przywiezieniem musiało nastąpić rozwiązanie. Może zatem któreś zostało w drodze zgubione? — zachodziłem w głowę. — No i doprawdy, panie doktorze, do dnia dzisiejszego — stoję wobec zagadki. Nie mam pewności, które z dzieci należy do żony, a które do zmarłej.

— Jakżeż w takim razie zdecydował się pan hrabia na przyznanie swojego nazwiska jedynie hrabiance Marcie?

— To już decyzja żony. Słuchaj pan jednak. — Wspomnę o najważniejszych szczegółach, które mię upewniły z całą stanowczością, że obie dzieciny były



Żona pospieszyła na miejsce i zobaczyła Malczykównę opatrującą rannego. (Ilustracja do Nr. 18 „Roli").

moje, chociaż nie jedną miały matkę. Uprzątając rzeczy po zmarłej Malczykównie i przygotowując je do wysyłki rodzicom, klucznica, która żyła z nią w wielkiej przyjaźni — natrafiła na jej pamiętnik. Nie omieszkała mi go przynieść. Wiedziałem, że musiała go przedtem przeczytać, gdyż, nie znając jego treści, nie uważałaby tego za konieczne. Przeglądając kartki, zapełnione ręką nieszczęśliwej, dowiedziałem się, iż rozpoczęła jego pisanie od piątej klasy gimnazjalnej. Zwierzenia uczenicy nie wiele mię interesowały. Tyle tylko zapamiętałem, iż marzyła o jakimś niezwykłym mężczyźnie, poprostu ideale i dlatego nie miała studenckich miłostek. Natrafiłem na datę 10/9. 1909. — Jak się przekonałem, odtąd pamiętnik o mnie tylko mówił. Niezmiernie wzruszyły mię początkowe rozdziały. Zwierzała się w nich ze swojej ogromnej miłości, która od pierwszej chwili niezwykle silnym ogniem zapłonęła w jej sercu. Skarżyła się okrutnie na los, który ją prześladował. Pamiętnik mówił w dalszym ciągu, że początkowo nie chciała wierzyć mojemu tłumaczeniu, jakoby padła ofiarą podobieństwa. Uwierzyła dopiero wtedy, gdy zobaczyła żonę na zamku. Od wzmianki o przyjeździe żony, treść pamiętnika niezmiernie mię zaintrygowała. O ile miałem mu wierzyć, a rzeczywiście musiałem, dziecię przez nią zrodzone, było moje.

— Tak, moje, panie doktorze — potwierdził, ujrzawszy zdumienie na twarzy słuchacza. — Jak się zwierzała kartkom, byłem bez mej wiedzy ojcem jej dziecięcia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zapóźno.

Szedł drogą, poświstując wesoło.

Z okien przydrożnych chałup biegły ku niemu spojrzenia gorące, a ciekawe.

— Mama! Jasiek Witków przyjechoł i idzie kajsi! Może do nos?

— Patrzołby ci on na nos, głuptasie! Taki jaśnie pon!

— A cóżto, lepszy od nos? Aby my to dziady jakie, cy co?

— Dziady nie dziady. Ale śtyrdzieści morgów, to nie byle co! A teroz co łojczym pomar, to mu ta matka do wszyćko! Jedynok!

— No, to sie ta i na zonine nie musi patrzyć. Może i chudobniejszą brać!

— Jakby mioł brać, toby Maryśki Bartosionki nie ostawiuł! Widać mu bida nie w smak była, bo dzieucha była jak trza.

— Ale głupio!

— Bacz, abyś i ty z Frankiem nie zmędrzała. Myślisz, że nie wiem, jak nocami za stodołę cikosz?

Dziewczyna oblała się pąsem, rzucając na matkę jadowite spojrzenie.

A Jasiek tymczasem był już daleko. Smukły, jak topola, sunął raźno naprzód, mijając kiwające nań przyjaźnie wnętrza chat, nie widząc płonących zachętą oczu. Coś go ponosiło.

Jakiś zew słodki szedł z dali, wzywając go ku sobie.

Coś drżało w rozgrzanem słońcem powietrzu, biło w nozdrza z wnętrza rozoranej ziemi, dźwięczało w pieśni ptaszyny szarej, prującej skrzydełkami obłoki.

To „coś" nieuchwytnego wygnało go z chaty, — prąc nieprzezwyciężonym musem, bez celu, przed siebie.

Więc biegł prawie...

Lecz w miarę, jak strzechy stawały się coraz rzadsze, coraz nędzniejsze, pęd jego wolniał, wreszcie kroki stały się bojaźliwe, skradające się.

Wkońcu zatrzymał się o kilka kroków od opłotków, kryjących zaniedbane, napoły rozwalone zabudowania.

Nędza widniała z każdego kąta — świstała wiatrem po pustej stodole, potrząsała dziurami kraciastej wielekroć naprawianej, napoły przegniłej strzechy. Tylko ogródek starannie skopany, wykazywał pracowitą rękę kobiecą.

Z wnętrza dochodził miarowy stukot kolebki i stłumiony śpiew kobiety:

A lulajże, mój Jasinku, lulaj!
A stulajże siwe oczka, stulaj!

Jasiek opuścił głowę, natężając słuch.

— Możeby tak wejść — przebiegło mu przez myśl — ale poco? — reflektowało zastanowienie. — Machnął ręką, chcąc zawrócić, nie odchodził jednak. Stał, przeżywając w duszy niedawne wspomnienia.

— Akurat minął rok! — szepnął do siebie.

Wygnało go z chaty, jak dziś i zagnało aż tu. Tylko wtedy było tu jakosi inaczy — jakosi czyściej, jakosi składniej... Na przyzbie siedział stary Bartosik i koszyki z wikliny wyplatał. Powitał go boskiem słowem, a Bartosicka w te pędy fartuchem ławę starła i sadowiąc gościa, dopytywała troskliwie, czyby nie spatrzał mlika kapke abo i maślanki świży.

Podziękował, jako że honorny był. Zwyczajnie gospodarski syn. A tu ze stajni Maryś wyszła, w obu rękach skopce dźwigając...

— Nie... w jednej miała skopiec, a w drugiej stołek — poprawił się w myśli. Jak mie zuźrała, o Jezu! kieby ji kto gembusie wiechciem wytar! Aż ji stołek z garści wypod. Tylko mliko to jucha trzymała morowo — widać śni gospodyni, jak potrza.

A jego, to jakby ciarki przeszły. Jakby mu kto mrowia za koszule natrzepał. Bo tyż i śliczności była

dzieucha! Ślipka miała, kieby to niebo siwe, a takie czegoś rzewne, aż za serce chytało.

Oj szczęśliwi byli oboje, aż hej! Ptasze gniazdka w żywopłocie — od kota chronili, oglądając co dnia, do słonka się śmiali, do ludzi, a radość piersi im rozpierała...

Było tego cosi ze dwa tygodnie.

Roz, jakosik parno było na świecie. Dzień cały uznoił ludziska bez miary, a i noc nie dała ochłody. Gwiazdy mrugały blado, jakby zamglone, a w izbie nijak nie sposób było wytrzymać. Wypadł z izby, a nogi poniosły same pod dziewczyny zagrodę.

I ją wygnał gorąc z izby. Stojała oparto hań o te grusze. Dopod ji i w te razy...

— Jasinku, o rety, Jasinku!

— Maryś słonecko, Maryś kochanie, Maryś ty moja...

Młodość i miłość obojga, parna noc i ten kipiący wir krwi, zrobiły swoje.

— Jasinku, Jasinku! Tylko jutro z wódką przydź! Jakby nie daj Boże co, toby ksiądz ślubu we welonie nie pozwolił i kozoł przed boczny untorz!

— Pewnikiem bede, Maryś najmilejsza, Maryś pódzino jeszcze! Maryś słonko... Maryś kochanie... Maryś ty... ty...

A na drugi dzień odjechał do odległej wsi, gdzie już od tygodnia zgodził się za sztangreta do dworu.

A w ślad za nim, powlokły się jak wyrzut siwe ślepka Marysi... a patrzyły tak jakoś błagalnie, tak rzewnie...

— Ouwa! — opędzał się parobczak. — Choćby i co, to morge dom i już! Abo mnie to nie stać? Co mi to mus dziadówke brać, abo co?

Zrobiwszy takie postanowienie, powesełał. Zresztą, albo to tu brakło dzieuch, albo to dały mu się smucić? Tylko takich siwych, rzewnych ślepek, nie miała żadna... chociaż nie, zdawało mu się, że miały wszystkie.

Bo niech ino zaźroł głębi w któresi czy bure, czy czorne, wnet zmieniały sie na tamte siwe, a takie jakiesi smutne, że sie mu i amorów odchciwało.

Upłynęło kilka miesięcy.

Aż znowu ten list.

Pamięta go całki, bo czytał i czytał, nijak nie mogąc wyrozumieć.

„Kochany Synu! — pisała matka — Niek bedzie pokwolony Jezus Krystus i Maryja Matka Jego. Jazdeśmy wszystkie zdrowe, i wszyscy znajomi tyż, tylko Szolkowo zmarła, a Bartosika paralus ruszył, czego i tobie życzymy. Cosi ta po wsi słuchy idą, żeś ty cosi winien, ale sie dowiedzieć ni mogę. Ojczym słabują, kobyła się oźrebiła, to tyż lepiby. było, żebyś przyjechoł..."

Coś ta było i o jałówce i o żydach, ale z tego wszystkiego nic nie zmiarkował, tylko to jedno, że „Bartosika paralus ruszył".

I udział jego w tem nieszczęściu, majaczył mu niejasno, choć nie przyznawał się do tego.

— Bede widzioł, jak przyjade. Musze dobyć do roku, jakem sie zgodziuł — uspokajał niepokój sumienia.

Nie wybył jednak, bo nie było przeznaczenia. Ojczym zmarł w dziesięć miesięcy po jego wyjeździe i musiał rad nie rad wracać.

Wracał z lękiem, czego się dowie...

I dowiedział się najgorszego.

Stary Bartosik zachorował, gdy tylko hańba córki stała się jawną i w trzy tygodnie później zmarł, nie odzyskując przytomności.

W trzy miesiące po nim poszła żona, a Maryś została sama na świecie.

Ba, żeby sama! W parę tygodni po śmierci matki urodził się jej syn.

Jego syn...

Pierwszą myślą Jaśka było biec do tej, tak bardzo skrzywdzonej...

— Mom czas, nie ucieknie! — pomyślał sobie i już w dwa dni później chwalił sobie bardzo tę przezorność.

Maryśka miała starającego. Był nim szewczyna wiejski, ubogi jak ona, cichy, łagodny jakby niemrawy.

Cała wieś aż trzęsła się z uciechy, opowiadając sobie, jak to „głupi Pawełek", bawi „znajdę", jak drwa rąbie, wodę dźwiga, gdy o zmroku przyjdzie do ubogiej zagrody Marysi.

— Ano na noc musi zarobić! — śmiali się jedni.

— Ano pewnikiem — potwierdzali drudzy.

— Cekojcie, nie scekalibyście po próżnicy. On tam nigdy nie nocowoł. Przecie podle — tobym widzioł — bronił ktoś rozumniejszy.

— Hale, hale! Wy ta stary daty, to dzisiejsych wybiegów nie rozumicie!

I obrońca milknął pokonany.

— Ano to się ta lepi stać ni mogło — mruczał zadowolony z tego obrotu sprawy Jasiek. — Teroz wypodo z Pawełkiem pogodać... Krzyw mu nie będę i żałował mu tyż nie będę. Opatrzę ich, jak potrza. Niech sie pobierą...

To „pobierą" było jakieś niewyraźne. Coś mu się nie nadawało.

Tymczasem zapadał zmrok. Od lasu dobiegły go jakieś głosy. Wytężył wzrok. Z gęstwiny wyłoniły się dwie postacie kobiece, idące raźno i opowiadające sobie ostatnie nowiny sąsiedzkie.

Oddychały krótko, urywanie, dźwigając na plecach spore wiązki gałęzi, to też i słowa wybiegały silnie, z naciskiem tak, że Jaśko słyszał każde z nich.

— Oo! bezwstydnica najducha kołysze i wyśpiwuje mu, kieby paniczowi jakiemu! Widzicie ją, małupa jedna!

— Myślała, że Witka złapie, ale nie głupi...

— Co ji ta bida zrobi, głupiego Pawełka złapała!

— I nimo się to Poniezus gniwać, kiedy porzomne dziopy siedzą, a tako małupa i tak się wyda...

Urwała, spostrzegłszy Jaśka przytulonego do płotu.

Parobczak drżał ze wstydu i oburzenia. Jak było, sam wiedział najlepiej. Kto był winien, on tylko mógł orzec...

Nie namyślając się dłużej, pchnął furtkę, przebiegł jak burza ścieżkę, wpadł do sionki i gwałtownie otworzył drzwi do izby.

Na środku stała kolebka, a przy niej siedziała na niskim stołeczku Marysia i obierając ziemniaki na wieczerzę, kołysała nogą dziecko.

Pod oknem „głupi Pawełek" strugał z drzewa jakieś pomysłowe zabawki, karuzele i huśtawki...

Dla nieswojego dziecka...

— Maryś! — szepnął Jasiek, nie wiedząc, od czego zacząć.

Kobieta podniosła nań oczy, cudniejsze jeszcze, jak niegdyś, bo pogłębione cierpieniem.

W pierwszej chwili nie poznała go: drzwi otwierały się do środka, w stronę okna, tak, że przybyły stał w cieniu.

Po chwili zatrzęsła się i łuna oblała pobladłą jej twarz, że stała się podobną do dawnej.

— Jasiek! — krzyknęła, nie zważając na dziecko, które dopiero co usnęło.

Przybyły wsunął się do izby.

— Maryś! przyszedem, aby się z tobą ożenić. Nie sposób mi żyć bez ciebie! — wyrzucał jednym tchem, z głębi piersi, gorąco z przekonaniem. — Próbowałem, ale nijak nie uradzę. Jutro zaniesiemy na zapowiedzi... dobrze, Maryś?!

A kobieta pochyliła głowę w milczeniu i łzy jedna za drugą poczęły biec po twarzy... Hej mój Ty Jezu! Coby to być mogło! O mój Jezu, mój Jezu!

Zapanowało milczenie. Jasiek spodziewał się wybuchu radości, a ujrzał łzy... nie wiedział, co począć i co mówić.

Z krzesła pod oknem podniosła się postać „głupiego Pawełka".

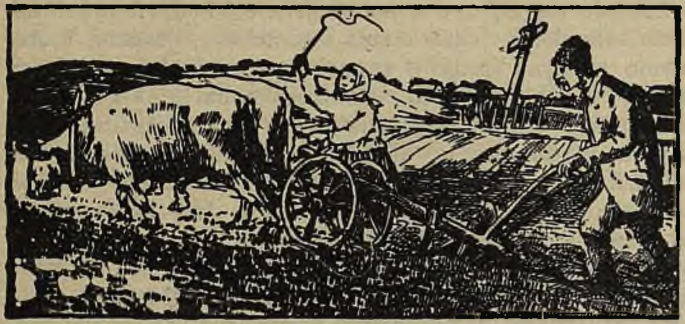
— Cichoj Maryś, cichoj, idź, kiej ci mówi! O mnie nie stój! Cóż jo? On ociec, mo prawo, tak trza! — i sięgnąwszy ręką po czapkę, zabierał się do wyjścia.

— Ostoń Paweł! Już nie płaczę i nigdy nie będę! Jutro ponieś na zapowiedzi, ale z tobą. Jasiek nie dla mnie. Przedzielił nos grób rodziców — na zawsze!

Jasiek zatoczył się, jak pijany, i wyszedł bez słowa.

O dziwne serce ludzkie! Przed godziną była mu Marysia obcą prawie, a teraz, dałby połowę majątku, aby zarównać przepaść, którą sam wykopał. Zdawało mu się, że jakieś wrota cichego szczęścia, zamknęły się przed nim na zawsze.

Marja Waller.



Poradnik gospodarczy.

Nieco o warzywach.

Nigdzie może gospodarze wiejscy nie spożywają tak mało warzyw, jak w Polsce. W naszych ogrodach wiejskich spotykamy jedynie kapustę, buraki i marchew, a na lepszych ziemiach także cebulę, uprawianą przeważnie na sprzedaż do miasteczek. Ogórki i fasolę zaledwie może w 10-ciu na 100 ogrodach spotkać można. Takie zaś warzywa jak: pomidory, fasola szparagowa, spożywana na zielono w strąkach, kalarepa, kalafjory, sałata, truskawki — to są poprostu warzywa na wsi nieznane. A przecież są to warzywa bardzo zdrowe i smaczne i wcale nie wymagają nadzwyczajnych warunków ani starań. Smutne to, lecz prawdziwe.

We wsiach naszych ogrodom poświęca się bardzo mało czasu i uwagi, tyle tylko, aby się jaka kapuścina, czy też marchew urodziła. Na uprawę innych warzyw żałuje się zachodu i fatygi. Gdyby jednak gospodyni wiedziała, ileby jej kłopotu odpadło w doborze pokarmów dla domowników, żeby się tak w koło nie powtarzała kapusta i ziemniaki, ziemniaki i kapusta; żeby wiedziała o ile jej cała rodzina byłaby zdrowsza, spożywając większe ilości różnych warzyw, toby z pewnością większą uwagę zwróciła na ogród i postarała się o potrzebne nasiona a gospodarz nie żałowałby nawozu i roboty koło uprawy warzywnika.

Człowiek bez uszczerbku dla zdrowia nie może żywić się ciągle temi samemi potrawami, szczególnie kilku bardzo się powtarzającemi. Podobnie jak rola, którą zasilaliśmy wciąż temi samemi niepełnemi nawozami w nieodpowiednim składzie, np. superfosfatem i wapnem — a nie dawali nawozów azotowych, ani potasowych — po pewnym czasie z braku odpowiednich składników, musiałaby wydawać marne plony, tak samo człowiek żywiony wciąż jednemi mało pożywnemi pokarmami traci siły i zdrowie i do ciężkiej pracy nie jest zdolny. Człowiek też musi pobierać w pożywieniu różne składniki, które dla jego zdrowia i siły są potrzebne — składniki zaś w jednych roślinach spotykamy jedne — w innych drugie. Dlatego musimy jadać potrawy z różnych warzyw — szczególnie na wsi, gdzie mięsa jada się bardzo niewiele — ażeby się różne składniki nawzajem dopełniały. Wielu gospodarzy czy gospodyń nie uprawia warzyw poprostu dlatego, że nie wie, iż poza kapustą, burakami, marchwią i pietruszką są jeszcze jakieś pożyteczne warzywa, w dodatku nie wie, gdzie takie nasiona dostać, a następnie jak się z temi „nowościami" w ogrodzie obchodzić i jak je użytkować.

Kalendarzyk ogrodniczy na maj.

Wczesnym rankiem gnieść lub opalać gąsienice (prządki pierścieniowej). Wycinać „wilki" u drzew owocowych i róż. Niszczyć zielone mszyce, przez opryskiwanie roślin kwasją.

Opryskiwać drzewa owocowe 1-procentową cieczą bordoską, Arbosanem (lecz nie w czasie kwitnienia).

Tępić pchełkę kapuścianą, obsypując młode rośliny sadzami, świeżo gaszonem i sproszkowanem wapnem. Zawsze to robić z rosą.

Siać w ziemniakach i ogórkach bób, lecz jako międzyplon.

Spulchniać ziemię pomiędzy wczesnemi ziemniakami, bobem, grochem.

Przerywać co 3—4 cm. cebulę, sianą wprost do gruntu.

Wycinać u rabarbaru pokazujące się kwiatowe łodygi.

Po 15 maja wysiać do gruntu ogórki i fasolę.

Około 20 maja rozpocząć sadzenie pomidorów. Obsypywać ziemniaki, bób, grochy; te ostatnie podpierać chrustem (odmiany tyczkowe).

Rozpocząć w począkach maja sadzenie porów, selerów i kwiatów gruntowych (laki, astry, lewkonje, letnie goździki, georginje, mieczyki). Co dwa tygodnie siać na gruncie rzodkiewkę i sałatę. W końcu maja wysadzić do gruntu kapustę brukselską. Siać na rozsadniku jarmuż i kalarepę (w miejscu ocienionem).

Z rozsady na gruncie wysadzać następujące warzywa: późną kapustę, brukiew, kalafjory, kalarepę, majeranek, karczochy, sałatę. Na zimowy użytek (najdalej do 20 maja i na dobrej ziemi) zasiać na gruncie — marchew i buraki.

KRONIKA.

Pogoda w maju. Dość pogodnie i ciepło szczególnie w pierwszej połowie miesiąca. W drugiej dekadzie, to jest między 10 a 20 maja, zapanuje pogoda krytyczna. Ogółem zmiennie przy wahającej się temperaturze. Nocne przymrozki. Obszerny wyż, zalegający południe Europy, może w ciągu tej dekady również dotrzeć do Polski. W ostatnie dnie dekady przypuszczalnie dostaniemy się w obszar burz i niepogody przy równoczesnym spadku temperatury. Porywiste wiatry z kierunków zmiennych. Trzecia dekada zapowiada w pierwsze dnie pogodę zmienną. Tutaj istnieje niebezpieczeństwo silniejszych przymrozków nocnych. W połowie dekady burzliwie z opadami w postaci deszczu i gradu. Wiatry porywiste. W końcu nastąpi rozpogodzenie i większe ocieplenie.

Wycofanie banknotów 10-złotowych. Bank Polski postanowił podobno przy wymianie zniszczonych 10-złotowych banknotów nie wypuszczać nowych biletów 10-złotowych. Decyzja ta została powzięta wobec stwierdzonego słabego stopnia nasycenia rynku bilonem. W związku z powyższem rozważaną jest także sprawa wypuszczenia srebrnych monet 10-złotowych. Ogółem w obiegu znajdują się obecnie banknoty 10 złotowe na sumę 15 miljonów zł. w miarę ich nopływu do Banku Polskiego zostanie zwiększony o tę samą kwotę obieg bilonu.

Zniżka cen wódki. Od 1(b. m. cena wódki została zniżona i wynosi: Wódka zwykła: a) mocy 35 st. 1 litr 4 80 zł., pół litra 2'50 zł., ćwierć litra 1'30 zł., $^1/_{10}$ litra 55 groszy; b) mocy 40 stopni 1 litr 5'60 zł., pół litra 2 90 zł., ćwierć litra 1'50 zł, $^1/_{10}$ litra 70 gr; c) mocy 45 stopni 1 litr 6 30 zł., pół litra 3 20, ćwierć litra 1'70, $^1/_{10}$ litra 75 groszy. — Wódka wyborowa: d) mocy 40 stopni 1 litr 6 90 zł., pół litra 3 70 zł., ćwierć litra 1'90; e) mocy 45 stopni 1 litr 7 60 zł, pół litra 4 zł., ćwierć litra 2 zł; — Wódka luksusowa: f) mocy 45 stopni 1 litr 10'40 zł., pół litra 5'50 zł., ćwierć litra 3 zł. — Spirytus na cele domowo-lecznicze: g) mocy 90 stopni 1 litr 12 50 zł., pół litra 6 30 zł., ćwierć litra 3'20 zł., $^1/_{10}$ litra 1 35 zł; h) mocy 95 stopni 1 litr 13'30 zł., pół litra 6'70 zł, ćwierć litra 3'40 zł., $^1/_{10}$ litra 1'50 zł. Rozporządzenie weszło w życie od 1 maja i od 10 b. m. muszą być już wyroby sprzedawane według nowych cen. A więc szkoły zamykają, a cenę wódek zniżają.

Pochwała dla „Roli“. W „Czasie“, dzienniku, wychodzącym w Krakowie, zamieścił znany poeta i literat p. Adolf Fierla artykuł p. t. „Prasa polska na Śląsku Czeskim“, w którym między innymi tak pisze: „Ulubioną gazetą wśród sfer górniczych i rolniczych jest ilustrowany tygodnik z Krakowa „Rola“. Jest to dla nas tem przyjemniejsza wzmianka, gdyż rzeczywiście na Śląsku Czeskim mamy dużą liczbę Czytelników i Przyjaciół.

Tragedja rodzinna. W Krakowie przy ulicy Długiej rozegrała się wstrząsająca tragedja rodzinna. Oto zamieszkały tam honorowy konsul rzeczypospolitaj Peru, Marjan Walter i żona jego Stefanja popełnili samobójstwo przez otrucie. Obydwoje ułożyli się w bieliźnie na kanapie i zażyli trucizny. Gdy to spostrzeżono, Walter dawał jeszcze słabe oznaki życia. Przewieziono go więc do szpitala, gdzie jednak po 10 minutach zmarł. Walterowej, pomimo energicznej pomocy, nie udało się ani na chwilę przywrócić do życia. Powodem rozpaczliwego kroku znanych i cenionych małżonków były trudności finansowe z powodu ogólnego kryzysu.

Tajne gorzelnictwo. Ponieważ ludzie pomimo panującego kryzysu nie stracili ochoty do „zalewania robaka“, a wódka bądź co bądź dość droga, przeto mnoży się coraz więcej tajnych gorzelni, gdzie przemyślni ludzie sami wyrabiają wódkę dla siebie, bądź ją też sprzedają po taniej cenie znajomym. Takie tajne gorzelnictwo rozszerzyło się również w powiecie nowosądeckim. Ostatnio po dłuższej obserwacji i stwierdzeniu, że jakaś tajna gorzelnia w okolicy Łącka fabrykuje na większą skalę wódkę, zdołano wykryć tę fabryczkę. Znaleziono w niej 120 litrów zacieru. Oczywiście aparaty skonfiskowano, a fabrykanta oddano sądowi do ukarania.

Tajemnicza śmierć w Zakopanem. W jednym z domów na Bystrem znaleziono 45 letniego gospodarza Stanisława Gąsienicę-Kleryka, wijącego się w boleściach. Natychmiast zawiadomiono o wypadku lekarza i policję. Po przybyciu na miejsce lekarz stwierdził zgon Gąsienicy. Jaki był powód śmierci nieszczęśliwego, narazie nie stwierdzono. Gąsienica osierocił 10 dzieci.

Samobóstwo dwóch młodzieńców. Coraz częściej daje się słyszeć o samobójstwie młodych ludzi. Zapanowała jakby jakaś manja samobójcza, przeciw której niema żadnych środków zapobiegawczych. I jest to rzecz nadzwyczaj smutna. Bo że odbiera sobie ktoś życie, sterany pracą i niepowodzeniami, to sobie jeszcze jakoś można wytłomaczyć, ale że odbierają je sobie ludzie młodzi, na progu życia stojący, toć to rzecz stokroć smutniejsza i boleśniejsza. I oto znów dwa takie wypadki zdarzyły się w ostatnich dniach we Lwowie. Na dworcu głównym tuż po północy rzucił się pod lokomotywę pociągu osobowego 19 letni Kazimierz Bratkowski, przybyły do Lwowa z Krechowic w powiecie dolińskim. Koła lokomotywy odcięły mu, jakby nożem, głowę od tułowia. Co było powodem strasznej śmierci młodzieńca, nie wiadomo. Tego samego dnia popełnił samobójstwo 18 letni syn tercjana jednej z szkół lwowskich Jan Ślepokura. Nieszczęśliwy włożył sobie w usta rurkę gumową, której koniec założył na odkręcony kurek gazowy i okrył się kocem. Co było przyczyną i tej śmierci, również nie wiadomo.

Tragiczna śmierć awanturnika. W Dobrzanach, pow. Lwów, do mieszkania Hryńka Ptasznika przybył posterunkowy Seweryn Bartłomowicz, celem przeprowadzenia rewizji za skradzionemi rzeczami. Rewizja dała wynik pozytywny, a wówczas ojciec Hryńka i brat Wasyl, uzbrojeni w pałki, razem z Hryńkiem rzucili się na posterunkowego i poczęli go bić. Bartłomowicz zaatakowany strzelił z rewolweru i położył trupem na miejscu Hryńka Ptasznika.

Zasypanie dwu kobiet. W Świężkowcach, pow. Zaleszczyki, osunęła się ziemia w glinisku miejskiem i przysypała 18 letnią Annę Besakę i 20 letnią Dorkę Hodowecką. Obie kobiety poniosły śmierć.

Mściwa niewiasta. W Gorzycach pow. Rybnik aresztowana została 70 letnia wdowa Teresa Kaliszkowa, która z zemsty podpaliła 4 morgowy las swojego sąsiada Antoniego Łańczyka we wsi Gorzyce. Kaliszowa procesowała się długi czas z Łańczykiem, proces przegrała i z zemsty podpaliła mu las.

Anioł nie żona. Mistrz krawiecki Józef Waliczek z Dąbrówki nad Odrą, chcąc pozbyć się żony, zwabił ją podstępnie nad Odrę i każąc jej zbadać głębokość wody przy pomocy kija, podszedł do niej i niespodziewanie pchnął ją do wody. Kobieta wpadła w nurty rzeki głową naprzód i byłaby utonęła, gdyby woda była cokolwiek głębsza. Gdy małżonka Waliczka usiłowała wyjść z mroźnej wody, mąż jej starał się do tego nie dopuścić, wpędzając ją z powrotem w głębię. Rzucał na nią przy tem ciężkimi kamieniami. Dochodzenie wykazało, że Waliczek chciał żonę zamordować, by uzyskać premję ubezpieczeniową w wysokości 500 marek. Waliczkowa

schroniła się przed mężem u swoich krewnych, którzy dopiero po 10 dniach zawiadomili policję o zamiarach Waliczka. Aresztowano go i osadzono w więzieniu. Odbyła się rozprawa przed sądem w Opolu. Żona oskarżonego nietylko odmówiła świadczenia przeciwko swoje mu mężowi, lecz nadto zaznaczyła, że wszystko mu przebacza i ma zamiar żyć z nim dalej w zgodzie małżeńskiej. Chociaż prokurator dopominał się o surowy wymiar kary, sąd uwzględnił częściowo prośbę żony oskarżonego, skazując go na 3 miesiące więzienia.

Porachunki bandytów. W pobliżu lasku Marysin w Radgoszczy miała miejsce krwawa zbrodnia na tle osobistych porachunków między dwoma włamywaczami Fr. Rajskim a Fr. Kieleką. Rajski strzelił z odległości kilku kroków do Kieleki, raniąc go śmiertelnie w serce, poczem zbiegł. Za bandytą rzucili się w pościg przechodnie i policja. Widząc, że nie zdoła umknąć, Rajski zatrzymał się i strzelił sobie w usta, ponosząc śmierć. Lekarz stwierdził zgon obu bandytów, którzy byli przez sąd w Kielcach skazani na 6 lat więzienia za zbrodnię rabunku i gwałtu.

Odkrycie przedhistorycznego cmentarzyska. W gminie Sady w powiecie radomszczańskim gospodarz J. Więckowski napotkał w czasie kopania dołu na garnek, z którego posypały się złote i srebrne monety. Były one zczerniałe, więc znalazca nie przywiązywał do nich większej wagi, ale porozdarowywał je znajomym. Okazało się jednak, że były to cenne monety z wizerunkami Zygmunta I i Zygmunta III. W związku z tem poczęto więc robić dalsze poszukiwania, które dały nieoczekiwane wyniki, gdyż w piasku natrafiono na urny kamienne, w których znajdują się popioły ludzkie. Uczeni przypuszczają, iż urny te pochodzą z czasów epoki kamiennej, coby świadczyło, że na ziemiach polskich dawniej ludzie mieszkali, aniżeli o tem mówi historja.

Pożar wsi. Wieś Gaworzów w powiecie piotrkowskim nawiedził pożar olbrzymich rozmiarów, spłonęło bowiem 155 budynków i cały inwentarz. Ofiarą ognia padła również 18-letnia Janina Stankówna, która, zamiast uciekać z innymi, zakryła się przed ogniem na łóżku pierzyną, wskutek czego znalazła straszną śmierć w ogniu. Zwłoki jej znaleziono po ugaszeniu pożaru zupełnie zwęglone.

Groby szwedzkie. W czasie kopania kanałów Ulgi na terenie Gocławia koło Warszawy natrafiono na szkielety ludzkie, broń, monety stare. Szczątki przekazano Muzeum Narodowemu, które stwierdziło, że szkielety i przedmioty pochodzą z okresu wojen szwedzkich połowy XVIII wieku, prowadzonych przez króla Jana Kazimierza i króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Bliższe oględziny wykazały, że znalezione monety szwedzkie i wszystkie szczątki pochodzą z r. 1656, gdy w tem miejscu Polacy stoczyli ze Szwedami trzydniową bitwę, w lipcu dnia 28, 29 i 30. Zarząd Spółki wystawił w miejscu, gdzie odkopano szczątki, tuż koło kanału Ulgi nad Wisłą pomnik, piramidkę stożkowatą z krzyżem i napisem: „Cześć poległym za Ojczyznę w bitwie ze Szwedami 28—30 lipca 1656 r."

Straszna śmierć w płomieniach. Kolonja Krzentle, powiatu wieluńskiego, była widownią strasznej tragedji, jaka rozegrała się w czasie pożaru w zabudowaniach Franciszka Wilusia. Było już dobrze po północy, gdy mieszkańcy kolonji przebudzeni zostali alarmem. Zabudowania gospodarza Wilusia stały całkowicie w płomieniach, a domownicy to jest 60-letnia Marja Wilusiowa oraz sublokator Szymojowski, którym udało się ujść z życiem przed ogniem, stali bezradni, błagając o pomoc. Tymczasem ogień ogarnął stodołę, oborę i zanim zorganizowano jaką akcję ratowniczą, wszelki inwentarz żywy spłonął doszczętnie. Nagle Wilusiowa przypomniała sobie, że w sienniku posiada drobne oszczędności składane przez całe życie. Nie zważając na groźną sytuację, w jakiej dom się znajdował, wbiegła do mieszkania. Szymojowski, chcąc ratować swą gospodynię rzucił się za nią, aby ją wyprowadzić, lecz w chwili, gdy oboje znaleźli się wewnątrz mieszkania rozległ się złowieszczy trzask. Dach domu zawalił się, grzebiąc w płonących gruzach zarówno Wilusiową jak i Szymojowskiego. Okrzyk zgrozy wyrwał się z ust świadków tego straszliwego wypadku. Na ratunek niepodobna było ruszyć. W pewnej chwili z pod gruzów płonącej chaty dały się słyszeć jęki. To Szymojowski, który zdołał cudem przyczołgać się na próg chaty wzywał pomocy. Odgarnięcie stosu palącego się drzewa było kwestją kilku chwil. Szymojowskiego wydobyto z ognia, lecz w jakże straszliwym stanie. Przedstawiał jedną okropną krwawą masę. Nieszczęśliwca natychmiast przewieziono do szpitala w Wieluniu. Stan jego jest beznadziejny. Wilusiowa natomiast, przygnieciona stosem palących się belek i krokwi, nie mogąc doczołgać się do wyjścia, została żywcem spalona. Ciało jej wydostano w stanie zupełnego zwęglenia.

Bunt więźniów. W więzieniu karnem w Koronowie, pow. Bydgoszcz, wybuchł bunt więźniów. Przyczyną było wprowadzenie nowego regulaminu więziennego, w myśl którego obniżono racje żywnościowe. Wezwany oddział policji uśmierzył bunt i przywrócił spokój.

Uczta złodziejska na plebanji. Z Bydgoszczy donoszą: Mimo całej bezczelności, z jaką jacyś nieznani złodzieje dokonali w nocy włamania na plebanję w Przyłękach, trzeba przyznać, że zachowali oni wiele humoru i podziwu godnego spokoju w całem swem zachowaniu się podczas tej wyprawy. Plebanja w Przyłękach składa się z pięciu pokoji i kuchni. W jednym sypia ks. proboszcz Laczkowski, w drugim jego matka, w trzecim gospodyni, a dwa służą do przyjęć. Złodzieje zgotowali sobie kolację. Gdy wszyscy domownicy pogrążeni byli we śnie, włamali się na plebanję od strony kuchni. Widok przygotowanej w kuchni kury do gotowania, świeżutkich jajek, masła i innych smakołyków, wzbudził w nich taki apetyt, że zaniechali plondrowania mieszkania, a zabrali się do zgotowania sobie libacji. Rozpalili ogień w piecu, ugotowali kurę, usmażyli jajecznicę, nie żałując masła i przypraw i z całym spokojem skonsumowali to wszystko. Że mieli dobry apetyt, wskazywały na to pozostawione w kuchni tylko resztki w postaci poobgryzanych kości i skorup z jaj. Nasyciwszy głodne żołądki, przypomnieli sobie o właściwym celu swej wyprawy i poczęli czynić przygotowania za łupem. Przetrząsnęli kuchnię i dwa niezajęte przez nikogo pokoje, skąd zabrali pewną ilość noży, widelcy, łyżek i innych przedmiotów, ogólnej wartości około 200 zł., poczem ulotnili się. Złodzieje pozostawali w plebanji najmniej około 2 godzin. Dopiero rano spostrzeżono kradzież i zawiadomiono policję.

Smutne następstwa ciemnoty. Pewne małżeństwo w Suwałkach spodziewało się potomka. Usłużne kumoszki poradziły młodej i niedoświadczonej kobiecie, aby codziennie kilka razy piła wódkę, zagotowaną z korzeniami i innemi domieszkami, rzekomo celem wzmocnienia i matki i dziecka. Łatwowierna kobiecina stosowała ten środek bardzo gorliwie. Okazało się jednak, że był on bardzo zgubny tak dla matki, jak i dla dziecka. Matka wychudła nadzwyczajnie, a dziecko przyszło na świat tak wątłe, że lada dzień groziła mu śmierć. Ponieważ jedna ze sąsiadek ostrzegała nierozsądną matkę, aby zaniechała picia wódki, więc teraz reszta kumosek oskarżyła ją przed rodzicami, że ona na dziecko rzuci-

ła czary. Zwabiono ją więc pod jakimś pozorem do owej chaty, a ojciec dziecka pod grozą rewolweru zażądał od niej, aby zdjęła czary z dziecka. Biedna kobiecina nie mogła tego uczynić, gdyż się na żadnych czarach nie rozumiała, poczęła więc krzyczeć przeraźliwie ze strachu. Krzyk jej zwabił kilku rozsądniejszych sąsiadów, którzy uwolnili ją z niebezpiecznego położenia. W rezultacie ojciec dziecka będzie sam zdejmował czary w kryminale. Że to jeszcze są tacy głupcy na świecie.

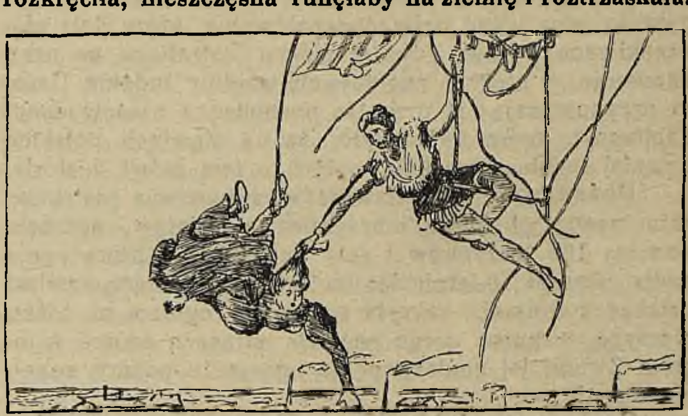
Tragiczny koniec sporu majątkowego. W majątku Kostuszyn pow. bielskiego zabita została w swojem mieszkaniu wystrzałem z rewolweru, oddanym przez okno, właścicielka majątku Lichobabinowa. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Lichobabinowa zamordowana została na tle sporu majątkowego, trwającego od dłuższego czasu między nią a kolonistami, którzy nabyli działki z rozparcelowanego przez nią majątku. Na dzień przed śmiercią Lichobabinowa zwróciła się do posterunku policji w Ciechanowcu z prośbą o ochronę wobec pogróżek ze strony chłopów. Policja poradziła Lichobabinowej zastosowanie wszelkich środków ostrożności oraz poleciła zamykać okna, ponadto przeznaczyła dla ochrony jej osoby posterunkowego Żurakowskiego. W chwili oddania strzału przez mordercę, Żurakowski rzucił się w pogoń za złoczyńcą, lecz nagle z ukrycia padł drugi strzał z dubeltówki, który ciężko zranił w głowę policjanta. Żurakowskiego odwieziono do szpitala.

Autobus pod kołami pociągu. W pobliżu Klausenburgu w Rumunji wydarzył się groźny wypadek autobusowy. Autobus jadący z Bukaresztu, przejeżdżając przez tor kolejowy, chwycony został przez pociąg pospieszny i wleczony przeszło 100 metrów, ulegając całkowitemu zdruzgotaniu. 6 pasażerów poniosło śmierć na miejscu. Dwie osoby ranne są w stanie beznadziejnym.

Zamordowanie prezydenta Francji. Na prezydenta Francji Pawła Doumera dokonano zamachu morderczego w dniu 6 b. m. Gdy prezydent przybył na wystawę książki, urządzonej w Paryżu, jakiś osobnik dał w kierunku prezydenta Doumera pięć strzałów rewolwerowych, z których trzy ugodziły prezydenta, zaś czwarta kula trafiła literata francuskiego Farrera w rękę. Po 24 godzinach męczarni prezydent zakończył życie. Aresztowany sprawca zamachu, Gugulew, jest emigrantem rosyjskim, z zawodu lekarzem. Zeznał on, że morderstwa dokonał z pobudek politycznych, albowiem Francję wini za to, że Rosja popadła w otchłań bolszewizmu. Dziwnem wydaje się takie rozumowanie mordercy, człowieka uczonego, boć przecie Francja nigdy opiekunką Rosji nie była, jak też nie można winić Francji, że Rosja niegdyś popadła w despotyzm carski. Że Rosja dała się ująć w pazury bolszewizmu winien temu tylko sam naród rosyjski. Ś. p. Paweł Doumer przeżył lat 70. W ostatniej wojnie z Niemcami stracił czterech synów. Był wielce pomocnym w formowaniu armji polskiej generała Hallera we Francji.

Piękny faworyt królowej. Śmierć pewnego szofera autobusowego wywołała w całej Hiszpanji silne wrażenie, gdyż był to szofer nieladajaki. A mianowicie szofer ów Trueba-Munos był potomkiem królewskiej rodziny hiszpańskiej. Jak stwierdzają gazety hiszpańskie, Trueba Munos był wnukiem hiszpańskiej królowej, Marji Krystyny, wdowy po królu Ferdynandzie VII. Wśród gwardji przybocznej zwrócił jej uwagę wysoki, przystojny, elegancki mężczyzna. Marja Krystyna zakochała się w nim, a nawet później poślubiła go. Urzędowo małżeństwa tego jednak nie uznano. Krok Marji Krystyny doprowadził do rewolucji pałacowej, wskutek czego królowa musiała się wyrzec męża, albo tronu. Marja Krystyna wybrała to ostatnie, ale przed tem zamianowała jeszcze swego małżonka księciem. Wnuk Marji Krystyny otrzymał po rodzicach majątek dość ładny, ale lubił się bawić szeroko, więc też wkrótce stracił wszystko. Mógł on wprawdzie zwrócić się do króla o pomoc, ale był za dumny, aby żyć z jałmużny. Ponieważ jednak umiał znakomicie szoferstwo, więc szoferstwem począł zarabiać na życie. Szło mu to bardzo dobrze, zakupił więc sobie domek w Salamance i tam żył spokojnie do samej śmierci. Na pogrzeb przybyła niemal cała ludność Salamanki, a oprócz tego wielu przedstawicieli znakomitych rodów z całej Hiszpanji.

Ratunek w powietrzu. Nadzwyczajny wypadek zdarzył się w Midleton w Anglji. Przybyła tam swego czasu gimnastyczka, która zapowiedziała afiszami, że pewnego dnia wzniesie się balonem na 300 metrów w górę i tam zawieszona między niebem a ziemią wykonywać będzie ćwiczenia gimnastyczne. W oznaczonym czasie zgromadziło się na miejscu tysiące ciekawych widzów. Nie przeczuwali, że wrażenie przejdzie znacznie miarę ich oczekiwania. Jedna z pań, znajdujących się wśród widzów, zaplątała się w linę, którą balon był przymocowany do ziemi. Lina okręciła jej się koło nogi i kiedy balon z szybkością podniósł się nagle w górę, porwał z sobą ową panią. Rozległ się przeraźliwy krzyk nieszczęśliwej, a wśród zgromadzonych widzów zapanowała śmiertelna cisza i przerażenie. Wszystkich oczy podniosły się w górę na balon, u którego wisiała nieszczęśliwa, której lada chwila groziła śmierć. Gdyby tylko lina się rozkręciła, nieszczęsna runęłaby na ziemię i roztrzaskała.



W tem najniespodziewaniej przyszła jej z pomocą sztukmistrzyni. Widząc groźne niebezpieczeństwo, chwyciła się nogami trapezu i z błyskawiczną szybkością przechyliła się ku wiszącej na linie. Udało jej się chwycić ją w krytycznej chwili za włosy i trzymać ją tak długo, dopóki drugą ręką nie chwyciła liny zamykającej wentyl i nie wypuściła z balonu gazu, przez co balon zaczął powoli opadać na ziemię. A kiedy balon spadł, tłum ruszył ku cudem uratowanej, która wprawdzie straciła przytomność, ale nie odniosła zresztą szwanku.

Strach przed śmiercią. Gazety amerykańskie donoszą z Edyvillo, że w tamtejszem więzieniu rozegrały się szczególnie drastyczne sceny w związku ze straceniem na krześle elektrycznem 3 murzynów zasądzonych na karę śmierci za dokonane morderstwo. O ile bowiem dwaj delikwenci bez trudności zostali posadzeni na krześle elektrycznem i śmierć ich nastąpiła już w kilku sekundach, o tyle 21 letni Holmes z chwilą wejścia strażników do jego celi począł stawiać gwałtowny opór i rzuciwszy się na straż, przy pomocy połamanych sprzętów dwu urzędnikom zadał ciężkie rany. Walka z nim trwała przez półtorej godziny i dopiero przy użyciu gazów oszałamiających zdołano go unieszkodliwić. W tym stanie posadzono go na krześle elektrycznem i wykonano wyrok, co jest w zasadzie proceduralnie niedopuszczalne.

RZECZY CIEKAWE.

Porady weterynaryjne przez radjo.

Polskie Radjo w zakresie rolnictwa wybitnie współdziała w ogólnem szerzeniu oświaty zawodowej, całość programu rolniczego przeznacza bowiem na omawianie spraw fachowych, które w danym okresie czasu interesować mogą radjosłuchaczów na wsi.

Nadawane są więc odczyty i pogadanki na różne gospodarskie tematy; w specjalnych słuchowiskach żywo odtwarzane są ciekawe fragmenty życia wsi, w codziennych komunikatach rolnik informowany jest o zarządzenia władz w stosunku do rolnictwa, o działalności organizacji rolniczych, omawiane są również najnowsze wydawnictwa rolnicze książkowe i prasa rolnicza. Wreszcie prowadzi Polskie Radjo w „skrzynce rolniczej" również doradztwo szczegółowe. Każdy mianowicie radjosłuchacz-rolnik zasięgnąć może rady, otrzymując odpowiedź przez mikrofon, lub listownie. W jesieni roku ubiegłego minęło już trzy lata od chwili otwarcia „skrzynki rolniczej". Praca „skrzynki" z konieczności nie mogła ograniczyć się do zagadnień jaknajściślej związanych z techniką produkcji rolnej i hodowlanej. Z prowadzeniem gospodarstwa wiejskiego łączy się przecież niezliczona ilość spraw natury prawnej, zagadnień ekonomicznych itd. I tego rodzaju sprawy jednak przysparzające wiele trudności „skrzynce" muszą być niejednokrotnie przez nas poruszane. Najtrudniejszem jednak dla redakcji „skrzynki" zagadnieniem, które posiada niezmiernie ważne znaczenie dla gospodarzy, są porady z zakresu weterynarji.

Słabo jest rozwinięta nasza służba zdrowia, jeżeli chodzi o leczenie zwierząt, a następnie zupełny brak elementarnego uświadomienia na wsi o zasadach doraźnej pomocy weterynaryjnej sprawiły, że „Skrzynka Rolnicza" otrzymuje wciąż wielką ilość korespondencji z pytaniami z zakresu weterynarji. Siłą rzeczy wskazówki dawane przez red. Skrzynki ograniczone są jedynie do ogólnych porad przy zwalczaniu chorób i ratownictwa zwierząt gospodarskich, co dla pytających niezawsze było wystarczające. Toteż Polskie Radjo rozumiejąc i doceniając ważność tych zagadnień, powołuje do życia nowy dział w programach rolniczych, „Porady weterynaryjne" pod wytrawnym kierunkiem profesora Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, Dr Lucjana Dobrzańskiego, autora licznych, praktycznych podręczników z zakresu weterynarji.

„Porady weterynaryjne", jakoby nowy rodzaj w Dziale Rolnym rozszerzają zakres doradztwa praktycznego, prowadzonego przez Polskie Radjo i na sprawy związane z leczeniem i z ratownictwem zwierząt ku pożytkowi radjosłuchaczy rolników.

„Porady weterynaryjne" udzielane będą co dwa tygodnie w niedzielę w ramach programu rolniczego, począwszy od niedzieli dnia 15. V. br; listy adresować należy: Polskie Radjo Warszawa, Kredytowa 1, Dział Rolny" — „Porady weterynaryjne".

Mucha jako szkodnik.

Naogół nie zdajemy sobie sprawy, do jakiego stopnia mucha stać się może szkodnikiem dla zdrowia i życia ludzkiego.

Mucha już dzięki swej budowie i sposobowi życia zasługuje na uwagę. Oko jej jest w swoim rodzaju fenomenem, gdyż może ono równocześnie widzieć wszystko, co się dzieje przed nią, w bok i za nią. Dziwna ta budowa oka polega na tem, że wyposażone ono jest w kilka tysięcy soczewek i dzięki temu każdy przedmiot widzi w tyluż odbitkach, które w niewytłumaczonym procesie łączą się w jeden obraz. — W każdym razie muchy potrafią dostrzec rzeczy, których oko ludzkie nie jest zdolne zobaczyć. Wiemy dalej, że mucha trąbką swą rozróżnia materjały, które dla czowieka dostrzegalne są jedynie przy pomocy mikroskopu.

Mucha ginie na jesieni, padając ofiarą zarodnika grzybkowego pewnej rośliny, zwanej Empusa.

W krótkim swym żywocie mucha może przecież stać się przyczyną licznych nieszczęść dla człowieka. Do niedawna wiedziano jedynie, że przenosi ona chorobę egipską ócz, (trachomy). Nowsze badania dały jednakże pod tym względem niespodziewane wyniki. Okazało się, że muchy w licznych innych wypadkach przenoszą na człowieka zakaźne choroby. Stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że rozpowszechniają one tyfus brzuszny, dysenterję, cholerę, biegunkę. — Roznoszą one także jajka pasożytów, znajdujących się w kiszkach człowieka, jak tasiemca, glisty i t. p. Nie wykluczone jest nawet, że stają się one rozsadnikami dżumy i gruźlicy.

Bezpośrednie przeniesienie zarazków choroby przez muchy odbywa się przy księgosuszu i zakażeniu krwi. Są pewne poszlaki, że mucha staje się także przyczyną rozpowszechniania ospy i zarazy pyska i racic, chociaż pod tym względem nie ma jeszcze pewności.

Tak więc chronienie przed muchami potraw i ludzi jest ważnem wskazaniem higjenicznem.

Rekordy w świecie roślinnym.

Rośliny żyją najrozmaitszą ilość lat. Niektóre drzewa osiągają niezwykle sędziwy wiek.

Smokowe i drzewa mamutowe żyją 4 do 5 tysięcy lat. Nasze lipy, dęby i buki po tysiąc lat.

Największem drzewem świata, którego pień ma 44 metry w obwodzie, a wysokość wynosi 50 metrów, jest wodny cyprys. Drzewa te rosną na równinach meksykańskich. W cieniu jednego z tych drzew obozował podobno meksykański zdobywca Cortez ze swojem całem wojskiem.

Największy kwiat na świecie posiada roślina pasożytnicza Rafflesia Arnoldi. Nie posiada ona liści, ani łodyg i wyrasta na korzeniach pewnej podzwrotnikowej rośliny pnącej. Średnica kwiatu ma jeden metr.

Co kto lubi?

Dla nas, mieszkańców Europy, zęby są piękne, gdy posiadają nieskazitelną białość, są małe i regularne, tworzące równą, nieprzerwaną linję, „rząd pereł w oprawie koralu" jak wyrażają się poeci. Piękność ta jednak wymaga rozlicznych i bardzo drobiazgowych starań. Każdego poranku oczyszczamy je starannie pachnącemi proszkami zapomocą miękkiej szczoteczki, nadającej im blask i świeżość. Zaledwie maleńki czarny punkcik daje się dostrzec (co jest oznaką psucia się w tem miejscu zęba) pośpieszamy do dentysty, aby złemu w porę zaradzić. Gdy jednak, pomimo wszelkich starań, zęby wypadają z wiekiem, biała kość słoniowa, umiejętnie przyrządzona lub złoto stratę tę wybornie zastępuje.

Murzyni, podobnie jak i Europejczycy, są dbali o białość i czystość zębów, oczyszczają je zapomocą odpowiedniej pałeczki, którą noszą przy sobie.

Nie należy jednak przypuszczać, ażeby ideał piękności zębów, przytoczony powyżej, był uznawany

jako taki przez wszystkie narody całego świata. — I tak naprzykład Meksykańczycy mieli zwyczaj opiłowywać zęby w kształcie, przypominającym zęby piły; inni prócz tego ozdabiali je inkrustacjami z turkusów, rubinów i t. p., starannie szlifowanych. Nie wiadomo jednak, czy operacje tego rodzaju dokonywane były na żyjących; znaleziono tylko znaczną ilość szczęk, w których zęby tak ozdobione przechowały się wybornie.

W ubiegłem stuleciu, w prowincjach Panuco, Indjanie nadawali zębom ostry kształt i świdrowali w nich otwory, które wypełniali masą czarną. Podobne operacje bardzo były zwyczajnemi i w Afryce. Hottentoci naprzykład wyrywali lub łamali sobie kły.

Wypiłowywanie zębów praktykuje się u Muzułmanów archipelagu Malajskiego; akt ten łączą z pewnemi uroczystościami religijnemi.

W Senegalu dzieciom małym wyciągają szczękę dolną w taki sposób, aby zęby jej zachodziły na zęby szczęki górnej. Liwingston opowiada, że u Kafrów dziecko, którego zęby górne zachodzą na dolne, jest uważane za potwora i, jako takie, bez litości zabijane.

Annamici, jakkolwiek bardzo dbali o swe zęby, malują je na czarno i mają wstręt głęboki do zębów białych, które z pogardą „okruchami porcelany" nazywają.

Przedewszystkiem zęby zostają dokładnie wymyte i oczyszczone proszkiem koralowym, a następnie silnie wytarte octem ryżowym, poczem dopiero operator przystępuje do zabarwienia.

Specjalnie małemi pędzelkami maluje każdy ząb z wszystkich stron farbą, przyrządzoną z miodu i proszku pewnego drzewa.

Malowanie to powtarza się kilka razy z rzędu, dopóki zęby nie zostaną pokryte równym, czarnym i lśniącym werniksem, co, jakkolwiek w naszem pojęciu niezbyt jest piękne, wybornie chroni zęby od zepsucia.

Dodać należy, iż po każdem posiedzeniu pacjent przez kilka godzin z rzędu pozostaje z otwartemi ustami, aby farba łatwiej wyschła. Niezbyt to jest wygodne, lecz te dobrowolne ofiary ogólnie panującej mody są widocznie obdarzone znaczną dozą cierpliwości. Podług innego podróżnika, p. Guyuermer'a, emaljowanie zębów na czarno najbardziej rozpowszechnionem jest w Japonji, z tą różnicą, że prawu temu, czy modzie, podlegają tylko kobiety; stanowi to jedną z ceremonij ślubnych; aż do tego dnia młode dziewczyny mają zęby białe.

Wszystko to dowodzi, że o niczyim guście wyrokować nie można, nawet jeżeli chodzi o... zęby.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Jan Żak** w G.: Dlaczego Pan dotychczas cukru dla pszczół nie otrzymał, nie umiemy objaśnić. Jest to niesumienność warszawskiego Towarzystwa, które nietylko cukru nie przesłało, ale nawet odpowiedzieć nie chce. Lwowskie Towarzystwo cukier dostarczyło w kwietniu, ale tak zanieczyszczony, że nie opłaciło się sprowadzać, zwłaszcza że za kilo takich śmieci cena wraz z przesyłką wyniosła 80 groszy. W rzeczywistości więc nie była to żadna pomoc dla pszczelarzy. **Hael** w Z.: Nie bojkotujemy zupełnie Pani, ale tak mało mamy miejsca na wierszyki, że nie wiadomo, czyj pierwej umieścić. I obecnie nadesłane wierszyki zachowujemy, nie robiąc żadnych obietnic. **Władysław Cudzich** w K.: Wierszyki dobre, więc je zachowujemy, może kiedyś znajdzie się na nie miejsce. **Józef Sroga** w K.: Nie zamieścimy. **Jarosław Onulski** w K.: Wiersze dobre, ale zadługie dla „Roli". W każdym razie zachowamy je, może kiedyś znajdzie się miejsce. **Michał Pisarczyk** w W. W.: Sam Pan pisze, że czas spóźniony, to i sprzedaż trudna. Kalendarzy nie mamy, a gdy się jeszcze ktoś zgłosi, to napiszemy Panu. **Pałka Piotr** w O.: Pół kilo węzy sztucznej kosztuje 5 zł., maska 2,40 zł., blacha 1.70 zł., klateczki na mateczniki 70 gr., bańka 3 zł. Do powyższych cen dolicza się koszta przesyłki pocztowej.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

☆ ☆ ■ ☆ ☆ Historyczne jezioro
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Imię żeńskie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Zwierzę domowe.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Państewko europejskie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Kawałek papieru.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Rodzaj noża.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Wiatr pustynny.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Przybrzeżny pasek.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Stroi inaczej.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Błoto inaczej.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Wynagrodzenie.

Litery środkowe czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko znanego kaznodziei.

2. Łamigłówka.

(Ułożył A. Galer z K.).

Z wyrazów: Finlandja, Grecja, Rosja, Hiszpanja, Chile, Jenissej, Oka — wyjąć po jednej literze, aby powstała nazwa pewnego państwa.

3. Szarady.

I.

(Ułożył K. Hobgarski z R).

Gdy pierwsza, pół trzeciej nastanie nowa,
Kobieta stare toalety chowa.
Pół pierwszej trzecia każdemu miła,
Ażeby tylko ojczystą była,
Druga i trzecia to nasza sąsiadka
Domyślić się łatwo, nietrudna zagadka.
A całość płynie to w dzień, to w nocy
Z duszy człowieka, co wzywa pomocy.

II.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

Czwarta! Już na nic rzekł p. Maciej Bzdura,
Na nic się przyda ma kandydatura,
Cała Psia Wólka wyprawia drugie pół [pierwsze,
Że mam głos jak druga czwarta, choć ja [pierwsze i trzecie
Polityk, wie o tem Kaśka, wszyscy o tem [wiecie.
Sążniste obiecanki przedwyborcze pale,
Jak nie zostanę posłem do całości wae.

4. Bilet wizytowy.

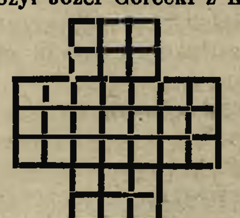
(Ułożył Jan Liwosz z S).

J. Z. RYFER.

Z liter ułożyć zawód tej osoby.

5. Krzyż magiczny.

(Ułożył Józef Górecki z K.).



W kratki wstawić wyrazy o podanem niżej znaczeniu, by były jednakowo czytane pionowo i poziomo.

Znaczenie wyrazów: 1) Kolonja francuska. 2) Kamień szlachetny. 3) Głos.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 20 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 18 „Roli": 1. Konikówka: Radaby dusza do raju, lecz ją grzechy nie wpuszczają. 2 Szarady: I. Arystokrata, II. Sandomierz. III. Krzyż magiczny: Ekwador, Fraszka, Madziar. 4. Program kinowy: Mus, to wielki pan.

W oznaczonym czasie dobrego rozwiązania nikt nie nadesłał.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Losowanie pożyczki budowlanej. Dnia 2 b. m. odbyło się losowanie 3% pożyczki budowlanej serja I, przyczem padły następujące wygrane: 250.000 zł. na Nr. 357407, 50 tys. zł. na Nr. 947245, 10.000 zł. na Nr. 745513, 963847, 356765, 591263, 88554, 523458, 149625, 702101, 428680, 685182, 1.000 zł. na Nr. 457937, 531629, 374873, 429794, 397864, 152247, 475273, 386977, 540884, 218370, 282869, 436188, 603330, 762871, 451945, 269185, 272968, 260728, 517056, 665499, 445887, 702409, 449383, 897797, 933915, 512561, 996135, 81865, 771827, 163145, 486362, 277885, 338242, 124601, 981204, 221652, 565015, 403674, 950967, 826945, 189822, 912920, 113943, 697739, 318427, 344367, 530146, 983603, 48915, 229924, 497899, 672590, 802788, 466378, 464328, 124441, 3733311, 112591, 475942, 870753, 924550, 869640, 394687, 478263, 315398, 308519, 510373, 224848, 42276, 873946, 169954, 272994, 95706, 210383, 632150, 353288, 478786, 1668, 910559, 645714, 411378, 248946, 670010, 221373, 315840, 817951, 987533, 226454, 658022, 551565, 312191, 432930, 135653, 283542, 805131, 926221, 792899.

Wygrane dolarówki. Dnia 2 b. m. odbyło się losowanie dolarówek. Ogółem wylosowano 95 premij na ogólną sumę 37.500 dolarów. Główna wygrana 12.000 dolarów padła na Nr. 422354. 3.000 dol. na Nr. 1185194, 419551, 1.000 dol. na Nr. 1087241, 800252, 1172154, 885415, 939614, 36992, 816928, 500 dol. na Nr. 578650, 525881, 1484539, 352088, 396147, 1161513, 851778, 583763, 319202, 651283, 100 dol. na Nr. 1176104, 346151, 66538, 44091, 616512, 782041, 11027, 610322, 410361, 961770, 1305004, 650168, 1208294, 828841, 1338424, 1324371, 845168, 1047557, 1098691, 1390609, 736667, 1337518, 1340312, 993232, 455740, 475539, 793313, 8600521, 1396111, 426451, 1127721, 939376, 1385745, 254947, 810637, 1179373, 417718, 16149, 2288513, 168282, 56115, 855088, 808826, 238554, 96489, 1021293, 480867, 1178964, 779351, 579388, 312671, 944147, 771669, 394389, 198243, 502312, 764150, 1320610, 1219533, 132542, 160110, 183418, 731954, 180204, 533245, 1457456, 812693, 1448127, 734333, 1018218, 892610, 1246108, 391472, 232968, 1227913.

Trafna odpowiedź.

Profesor: — Głupiec stawia więcej pytań, niż mędrzec może odpowiedzieć.

Student: — Nie dziw, że tylu z nas przepada przy egzaminie!

* * *

Ślepy żebrak (do policjanta): — Sługa uniżony pana przodownika!

Policjant: — A skąd wiecie, że jestem przodownikiem, kiedy nie widzicie?

Żebrak: — Mój pies zawarczał, proszę pana.

W szkole.

Pytanie: — Jaki jest najlepszy środek, aby uniknąć skwaszenia mleka?

Odpowiedź: — Najlepiej pozostawić je w krowie.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 10 maja b. r.

Pszenica	31·50—31·75	Słoma długa	10·00—11·00
Żyto .	29·50—29·75	Ziemniaki stoł.	5·00—5·50
Owies . .	27·00—27·50	Koniczyna nasienn. czer.	200·00—220·00
Jęczmień .	22·50—23·00	Mąka żytnia	46·50—47·00
Fasola biała	24·00—26·00	Mąka pszen.	53·00—54·00
Groch zwyk.	27·00—29·00	Otręby pszen.	17·00—17·50
Siano słodk.	12·00—14·00	Otręby żytnie	17·00—17·50
Łubin żółty	18·00—18·50	Mąka czerw.	20·00—21·00
Koniczpastew.	16·00—18·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy w dniu 10 maja b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·60 do 0·72 zł.	Jałownik	od 0·60 do 0·70 zł.
Woły . .	od 0·60 do 0·68 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 1·16 zł.
Krowy .	od 0·55 do 0·63 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogacizna	1·00 do 1·20 zł.	Nierogacizna bitej wagi	od 1·40 do 1·50

Śpiew i muzyka.

Mimo różnych niedomogów życiowych, człowiek chętnie słucha śpiewu lub muzyki, a wielu młodych pragnie uczestniczyć w wykonaniu słyszanych melodyj. To też wielu ludzi obdarzonych słuchem muzycznym, rwie się do nauki gry na instrumencie najwięcej mu odpowiadającym. Niestety często z braku czy to sposobności czy też funduszów, ograniczyć się muszą do naśladowania melodyj zasłyszanych, gdyż nie mieli i nie mają możności poznania sztuki nut, — niektórzy znowu posiadający zapomniane początki, — znajdują się w tem samem co i pierwsi położeniu.

Zwrócić wypada uwagę na podręcznik wydany przez jednego z amatorów muzycznych, służący jako samouk do nauki gry na skrzypcach i to bez pomocy nauczyciela, obejmujący praktyczne ćwiczenia i wyczerpujące objaśnienia wraz z ilustracją t. zw. palcówek a z zestawienia klucza wiolinowego z kluczem basowym i altowym, znajdującego się przy końcu samouka, każdy obeznany z zastosowaniem nut na skrzypcach, potrafi się zorjentować ze zastosowaniem ich na dalszych instrumentach smyczkowych, t. j. na altówce, basetli i basie.

Przystępna cena samouka 6 zł. udostępnia każdemu możność nauczenia się gry na wymienionych instrumentach.

Wysyła za pobraniem pocztowem wydawca Piotr Woltal w Bochni.